NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką po cztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 3 marca 1906 r. Nr. 9.

Napad anarchistów.

(Treść na tronie 3.)



Filar stronnictwa.

Stronnictwo krakowskich konserwatystów straciło swą podporę. Jeden z najtęższych polityków tej partyi zeszedł niespodziewanie w sile wieku do grobu ze śmiercią śp. dra Piotra Górskiego, który przed tygodniem zmarł na zapalenie płuc w Wiedniu.



Filar stronnictwa: Ś. p. dr. Piotr Górski, poseł do Sejmu i Rady państwa, radny miasta Krakowa, wybitny parlamentarzysta z obozu konserwatywnego.

Śp. dr Piotr Górski był jednym z najwybitniejszych parlamentarzystów i najlepszych mówców w Kole polskiem. Urodzony w roku 1857 w Uleńcu w Królestwie Polskiem, przybył do Krakowa na wydział prawniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie ze szczególnem zamiłowaniem oddawał się pracom historycznym oraz studyom nad prawem polskiem. Studya ukończył w Wiedniu, gdzie w roku 1881 uzyskał stopień doktora praw. Początkowo wstąpił do służby w namiestnictwie dolno-austryackiem, następnie przeniósł się do Lwowa, a w roku 1887 został komisarzem starostwa w Krakowie. W roku 1893 wystąpił ze służby, a w rok później wybrany posłem do Sejmu, wstąpił do koła posłów krakowskich. W roku 1897 wszedł do parlamentu. Od lat dziesięciu zasiadał w krakowskiej Radzie miejskiej, biorąc czynny udział w sekcyach ekonomicznej, prawniczej i szkolnej. Był nadto członkiem wielkiego wydziału tutejszej Kasy oszczędności.

Pracował także na polu naukowem i ogłosił wiele prac w rozmaitych pismach fachowych, prawniczych i historycznych. Głównie zajmował się w nich sprawą reformy urządzeń administracyjnych i autonomicznych w Galicyi. Wydał poważne dzieło pod tytułem „Samorząd gminny“, a wielkie zajęcie swego czasu wzbudził broszurą pt. „Biurokracya a autonomia“.

Człowiek to bądź co bądź wielkiego talentu, był w całej swej działalności i sposobie myślenia konserwatystą z przekonania. Politykę uprawiał z zamiłowaniem i właściwym sobie temperamentem, był więc w ciałach reprezentacyjnych, w których zasiadał, osobistością znaną i cenioną, a uwielbianą nietylko w swoim obozie, ale i u przeciwników szanowaną.

Zmarły był synowcem prezesa komitetu Tow. kredytowego ziemskiego w Warszawie p. Ludwika Górskiego, starszym bratem śp. Franciszka, wybitnego w Król. Polskiem obywatela, a również bratem świeżo posłem do parlamentu obranego p. Antoniego.

Zwłoki śp. Górskiego przewieziono z Wiednia do Krakowa, dla złożenia na tutejszym cmentarzu.

Pogrzeb w Krakowie odbył się z wielką uroczystością przy udziale mnóstwa posłów, wśród których była i umyślna deputacya Koła Polskiego z Wiednia, oraz licznych członków Rady miejskiej i dygnitarzy miejscowych i ziemian z Królestwa i z Galicyi. Kondukt prowadził ks. biskup Nowak. Mowę żałobną wygłosił nad grobem JE. Bobrzyński.

Oprócz portretu wybitnego parlamentarzysty polskiego podajemy dziś również dwa zdjęcia z jego pogrzebu z dworca kolejowego na cmentarz krakowski.

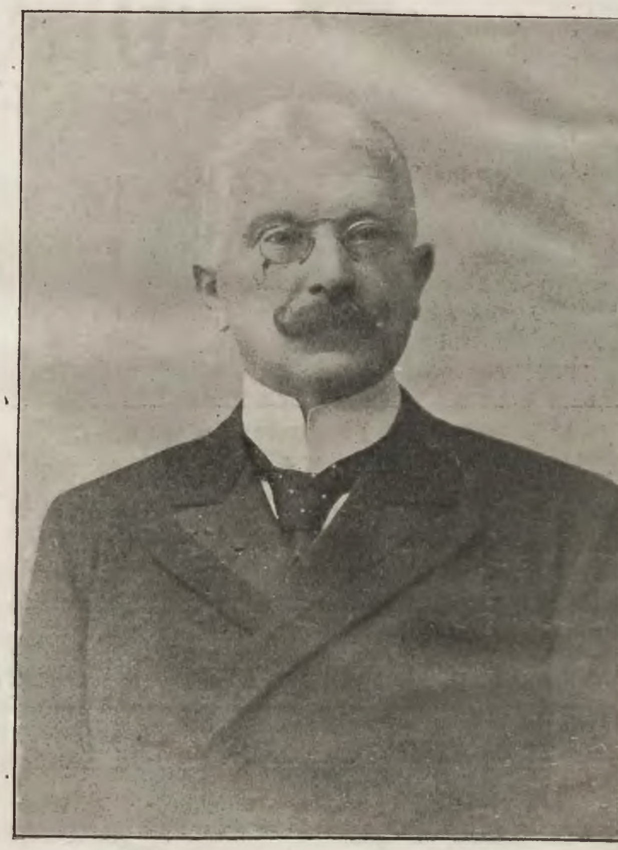
Historyczny dzień w Austryi.

Tydzień ubiegły pozostanie pamiętnym w dziejach Austryi. Zwłaszcza dzień 23 lutego będzie epokowym. W dniu tym bowiem baron Gautsch (którego portret z tej okazyi dziś umieszczamy) jako kierownik nawy państwowej, wniósł w parlamencie wiedeńskim przedłożenie reformy wyborczej na podstawie powszechnego prawa głosowania.

O znaczeniu reformy wyborczej w Austryi mieliśmy sposobność pisać już niejednokrotnie. Tu dodamy jeszcze, że była ona żądaniem wszystkich obywateli państwa bez różnicy wyznań i narodowości, czego najlepszym dowodem owe setki wieców, setki adresów i memoryałów do rządu, zebranych przez najrozmaitsze partye. Istniejący dotychczas system kuryalny przeżył się już i trzeba było koniecznej na tem polu zmiany. Chlubą barona Gautscha i jego gabinetu pozostanie fakt, że się nie ociągał, że nie bał się porzucić tradycyi i szablonu, ale sam wniósł projekt tej reformy, przez wszystkich pożądanej i oczekiwanej.

Reforma ta, wyłuszczona przez prezydenta ministrów w dłuższej mowie w parlamencie, zawiera przedewszystkiem zmianę ustawy zasadniczej o reprezentacyi państwa. Członkowie Izby panów, którzy dotychczas nie mogli być wybierani posłami do Rady państwa, obecnie mogą być wybierani; ponadto jeżeli poseł zostanie mianowany członkiem Izby panów, to może nie zasiadać w niej, dopóki nie złoży mandatu poselskiego. Izba posłów, składająca się obecnie z 425 posłów, będzie się składała z 455 posłów. Zresztą cała reforma opiera się na podstawie powszechnego, tajnego, równego i bezpośredniego prawa głosowania. Reforma ta przyjdzie dopiero pod obrady przed forum parlamentu w przyszłej sesyi, która się ma zacząć 6. czerwca.

Główny przedmiot dyskusyi przy obradach stanowić wtedy będzie jedynie rozdział mandatów na poszczególne kraje. Galicya np. ma otrzymać 88 mandatów, dotychczas miała 72. Jest to, wedle zgodnej opinii przeważnej części prasy, absolutnie za mało, już choćby z tej przyczyny, że Galicya jest w Austryi co do ilości mieszkańców krajem największym, znacznie większem np. od Czech,



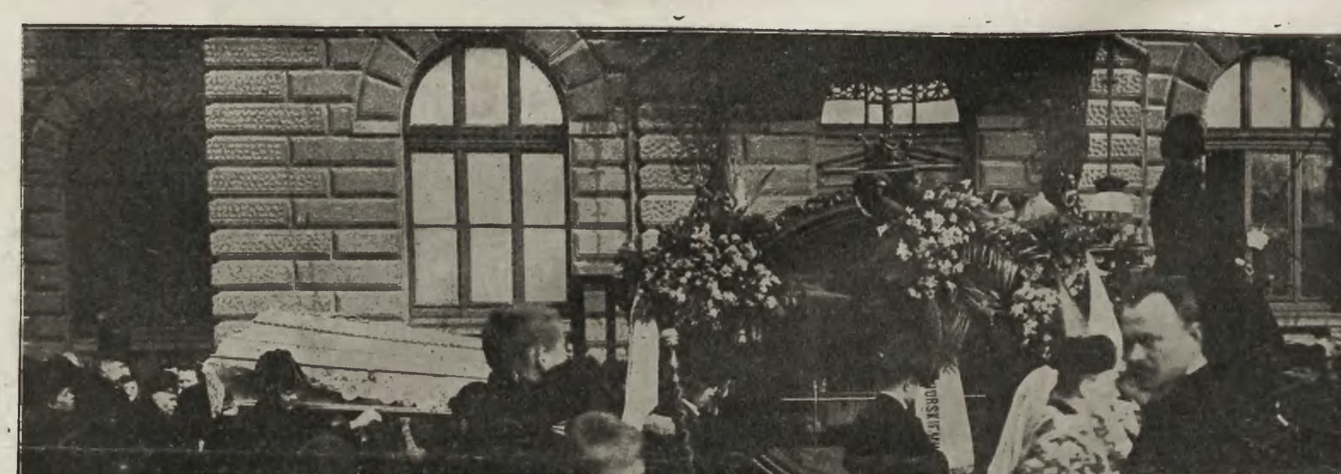
Historyczny dzień w Austryi: Prezydent ministrów baron Gautsch, który 23 z. m. przedłożył Radzie państwa reformę wyborczą.

które jednak mają otrzymać 118 mandatów. Taksamo z innymi krajami. Prawdopodobnie więc, zanim projekt barona Gautscha zostanie uchwalony w parlamencie, będzie on jeszcze długo i starannie rozstrząsany.

Warszawscy redaktorowie pod sądem.

Nie udało się ujść zawieszeniu i powołaniu przed sąd dwom z pośród warszawskich pism satyrycznych: „Kolcom“ i „Musze“. Redaktora i wydawcę tej ostatniej pozwano o kilka przestępstw prasowych, popełnionych rysunkiem i piórem. Jaki one wezmą obrót, niewiadomo. Tyle pewna, że „Mucha“ jeśli nie przestanie istnieć jako taka, to w każdym razie „zimuje“ snem długim zimowym, zaś przymusowemu bezrobociu oddaje się jej redaktor p. Władysław Buchner, znany pod pseudonimem „Ner-Buch“, którego fotografię widzi tu Czytelnik.

Wcześnie zjawił się ten pseudonim w nielicznych i ubożuchnych pismach humorystycznych warszawskich, gdyż jeszcze od r. 1882, kiedy młody humorysta, urodzony w Birkenhead, liczył lat ledwie 22. Wkrótce potem spróbował swego pióra w farsie p. t. „Wesoła Warszawa“, granej nie bez powodzenia w ogródkowych teatrzykach w r. 1886. W następnym nabył p. Buchner od wydawcy i redaktora Fryzego „Muchę“ i wydawał ją bez przerwy, aż do chwili jej zamknięcia przy spółpracownictwie głównie Rajnsztajna i Starkmana.



Specyalne zdjęcie fot. własnym aparatem „Nowości Illustrowanych“.
Filar stronnictwa: Pogrzeb ś. p. dra Piotra Górskiego w Krakowie: Kondukt prowadzony przez ks. biskupa Nowaka rusza z przed dworca kolejowego; chwila składania trumny na wóz żałobny z wieńcami od Koła Polskiego i Rady miejskiej.

Niezwykła msza żałobna.

Dnia 20-go z. m. odbyła się w bazylice budapeszteńskiej jedyna w swoim rodzaju msza żałobna... za rozwiązany parlament. Obecni byli wszyscy przewódcy koalicyi, z wyjątkiem Alberta Appony'ego i Dyzyderego Banffy'ego. Kościół był tak szczelnie wypełniony, że, jak widzimy na fotografii, jeszcze ogromny tłum stał w czasie mszy przed bramą bazyliki. Celebrował ks. opat Molnar. Wygłosił on kazanie polityczne, w którem wyraził nadzieję, że harmonia między narodem a Koroną będzie wkrótce przywrócona. Po nabożeństwie kilka tysięcy osób postanowiło udać się na grób Ludwika Kossutha. Po drodze przyszło do starcia z policyą, Z tłumu policyę obrzucono kamieniami. Policya dobyła szabel i 6 czy 7 osób zraniła.



Warszawscy redaktorowie pod sądem: Władysław Buchner, wydawca i redaktor zamkniętego tygodnika „Mucha“.



Specyalne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“.

Niezwykła msza żałobna: Tłum przed bazyliką św. Szczepana w Budapeszcie, niemogący się zmieścić wewnątrz przepełnionego kościoła podczas nabożeństwa żałobnego, urządzonego przez patryotów węgierskich z powodu rozpędzenia bagnetami parlamentu.

Patryoci węgierscy nietylko msze żałobne odprawiają teraz dla zamanifestowania, że pogwałcono rzecz dla narodu najświętszą, wolności konstytucyjne, ale w ogóle, jak z ostatnich doniesień wnosić można, stanęli przygnębieni, zmartwieni na widok bezwzględności wykonawców woli królewskiej. A komisarze nowomianowani w wszystkich komitatach węgierskich postępują srodze, korzystając z rządów bezparlamentarnych. Nie pozwalają na wiece publiczne, na zgromadzenia instytucyj publicznych, na posiedzenia stowarzyszeń i klubów politycznych, nawet sprzedaży ulicznej zabronili wydawcom gazet peszteńskich, które co chwila za byle co konfiskują pod zarzutem obrazy majestatu.

Wypadki węgierskie, nie mówiąc o przyszłości, dotyczą już dziś Galicyę o tyle, że na Węgry wysłano liczne kompanie i bataliony wojsk galicyjskich, zarówno piechoty, jak jazdy.

Napad anarchistów.

(Do ryc. tytułowej).

Bandytyzm w Królestwie Polskiem nieustaje. Codzień dzienniki rozpisują się o nowych zamachach „anarchistów-komunistów“ na kasy prywatne i publiczne w Warszawie, Łodzi i mniejszych miastach, to znów po wsiach i osadach fabrycznych, po gościńcach itp. Ostatnie dni obfitują w napady tego rodzaju w pociągach kolejowych, zarówno na głównych drogach żelaznych, jak świeżo np. na Warszawsko-Wiedeńskiej, jakoteż na podmiejskich. Oto wypadek najcharakterystyczniejszy:

Pociągiem kolei wilanowskiej wyjechał do Jeziorny pod Warszawą kasyer, który z domu bankierskiego „S. Natanson i synowie“ z Warszawy, wiózł do fabryki papieru w Jeziornie 4.500 rubli przeznaczonych na wypłatę. Kasyer zajął miejsce w wagonie, w którym siedziało kilkanaście osób. Do tegoż wagonu przed wyruszeniem pociągu, jak objaśnił następnie konduktor, wsiadło dwóch młodych ludzi, przyzwoicie ubranych. Po przybyciu pociągu do Czerniakowa, znowu do wagonu tego wsiadło dwóch młodych ludzi, lecz szczególnej uwagi na to nie zwrócono. W Wilanowie z wagonu tego wysiadło kilka osób i wsiadło kilku nowych pasażerów, w tej liczbie trzech młodych ludzi. Kiedy pociąg zbliżał się do stacyi Klarysew (od stacyi tej prowadzi droga do papierni w Jeziornej) w wagonie, w którym siedział kasyer, zerwało się nagle jakby na umówiony znak, siedmiu młodzieńców (w tej liczbie kilku żydów) i z rewolwerami Brauninga zażądało od obecnych nieporuszania się z miejsca i nierobienia alarmu, grożąc w przeciwnym razie śmiercią. Dwóch stanęło przy drzwiach wagonu z obu stron; dwóch stanęło przy konduktorze, trzymając rewolwery przy głowie i piersi tegoż; jeden trzymając rewolwer, zwracał ogólną uwagę na wagon, a dwóch również z bronią w ręku zbliżyło się do kasyera zażądawszy wydania pieniędzy. Przestraszony kasyer nie zdążył zaoponować, kiedy mu wyciągnięto portfel z pieniądzmi. Następnie jeden z łotrów powiedziawszy się, że pakiet zawiera 4.500 rb. (nawet liczyli pieniądze czy są wszystkie) wyjął jakąś kartkę i dopisawszy na niej coś ołówkiem, wręczył ją kasyerowi, poczem cała banda, kiedy pociąg przechodził już zwrotnicę na stacyi Klarysew, szybko wyskoczyła z wagonu i udała się w stronę lasu. Po wyjściu z wagonu łotrzy spostrzegli na balkonie drugiego wagonu strażnika ziemskiego, zaczęli więc strzelać z rewolwerów. Strażnik na razie nie wiedział o co idzie, a kiedy wszczęto alarm, rabusie już byli daleko. W wagonie, w którym dokonano rabunku znajdowało się 13 pasażerów, lecz wszyscy obawiali się stawiać opór rabusiom. Wręczona kasyerowi przez rabusiów kartka zawierała pokwitowanie z odbioru 4.500 rb. Pokwitowanie to wydrukowane było literami odbitemi z pieczęci gumowych, treści: „Pokwitowanie dla p. Natansona z odbioru 4.500 rb. (cyfra ta dopisana była ołówkiem). Warszawa, dnia 18 lutego 1906 r. Anarchiści - Komuniści.“ Na wieść o rabunku wyjechali do Klarysewa i Jeziorny przedstawiciele władz ze strażnikami i wojskiem w celu urządzenia w okolicy obławy.



Specyalne zdjęcie fot. własnym aparatem „Nowości Illustrowanych“.

Filar stronnictwa: Pogrzeb śp. dra Piotra Górskiego w Krakowie: kondukt w ulicy Lubicz; posłowie sejmowi z deputacyą Koła polskiego z Wiednia, postępujący za rodziną.

BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Król. Polskiem

Napisał: ARTUR GRUSZECKI.

40 Ciąg dalszy.

Rozkołysane dzwony zabrzmiały w cichym, pogodnym dniu jesiennym, na znak skończonego nabożeństwa, i z kościoła pierwsza fala ludu rozlała się po placu.

W tej chwili rozprószeni robotnicy utworzyli zwartą masę, rozwinięto i podniesiono w górę wielki sztandar czerwony i kilka pomniejszych z rewolucyjnemi hasłami

Lud, który wyszedł z kościoła, gapił się bierny, patrząc z niemym podziwem na odwagę manifestantów.

Policyanci i żandarmi wrzeszczeli na wszystkie strony:

— *Rozejtyś! Rozejtyś!* — i w przewidywaniu strzałów schronili się sami w boczne ulice.

Te tłumy płynące z kościoła, utrudniały działanie policyi. Zwłaszcza gdy wzmogło się parcie policyi, znaczna część pobożnych cofnęła się w ogrodzenie kościoła i do wnętrza świątyni.

Tymczasem robotnicy coraz liczniejsi, szli zwolna, krok za krokiem w stronę Królewskiej ulicy, aby dostać się na Marszałkowską.

Ukryte w podwórzach wojsko wystąpiło i stanęło w linii frontowej.

A z Twardej pośpiesznie szli robotnicy z rozwiniętym sztandarem, z pieśnią na ustach, i na chwilę zwolnili kroku, gdy na rogu Maryańskiej ulicy, ujrzeli konnych żandarmów z rotmistrzem Bolcewem siedzącym na wielkim, karym koniu.

Z uśmiechem szyderstwa patrzał na przeciągający tłum robotników, kobiet, dzieci, żydów, i chcąc przeciąć im odwrót, czekał, aż przewali się większa masa ludzi. Wiedział, bo sam układał plan, że wylotu wszystkich ulic z Placu strzeże piechota, a spodziewając się, że z dzielnic robotniczych przez Twardą napłynie wielka masa, sam na czele żandarmów przetnie odwrót i robotnicy znajdą się w pułapce.

Stał i patrzał. Wtem na przeciwległym chodniku, na Twardej dostrzegł Żaleckiego. Pobladł z gniewu, nienawidził go bowiem serdecznie, i za wyzywające zachowanie się w Grodzisku, za znajomość z Olgą, za poznanie się z Olesią, a głównie za uwiadomienie Olgi, że on ma metressę, gdyż dostrzegłszy na schodach wymianę ukłonu z Olesią, był pewny, że tylko Żalecki oskarżył go przed Olgą.

Skinął więc na szpiega i rzekł:

— Widzisz tego blondyna z brodą, z laską, w czarnym kapeluszu...

— Widzę.

— Śledź go... jeśli tylko choćby pozornie wmiesza się do manifestantów, aresztuj i daj mi znać.

— Rozumiem — i znikł w tłumie, idącym środkiem ulicy.

Po chwili dopędził Bolka i szedł jego śladem.

Zastępca oberpolicmajstra zwykłym głosem, słyszanym tylko przez najbliższe otoczenie, powiedział formułkę rozejścia się.

Rozległa się salwa, tłum zmieszał się, zakotłowało się na placu, rozległy się jęki, narzekania, złorzeczenia, groźne wybuchy rozpaczy. Poległych i rannych otoczono kołem zwartem, wołano wody, pomocy, ratunku!

Wszystko uciekało w popłochu. Większość wparła się do kościoła, inni wpadli w podwórza.

Żalecki po pierwszej salwie, widząc wahanie się tłumu, skoczył ku chorążemu, chcąc mu odebrać sztandar.

Ale chorąży, chociaż znał Żaleckiego, zawołał z gniewnem oburzeniem:

— Precz Buczku!

Szpieg rozejrzał się, szukając pomocy policyi celem aresztowania Bolka, ale nie widząc jej, szedł dalej w ślad

I byłby niechybnie przejeżdżający na koniu żandarm roztrzaskał mu czaszkę, lecz uciekający przed koniem potrącili Żaleckiego i gdy ten padał, ostrze szabli zgrzytnęło o mur, kawałek tynku odpadł, lecz Bolek ocalał i znalazł się po za linią żandarmów.

Zerwał się z ziemi i szybko z innymi szedł w ulicę Twardą. Dojrzał go szpieg, podbiegł i chwytając za ramię, syknął:

— Mam cię!... Aresztuję!

Żalecki odwrócił się i bez namysłu laską uderzył go po kapeluszu sztywnym, a drugą ręką pchnął go pod piersi.

Zatoczył się szpieg i padł na ziemię, siląc się podnieść z oczu kapelusz, który pod uderzeniem wlazł mu na nos.

Fala uciekających ludzi nie tak prędko dozwoliła mu podnieść się, a gdy rozejrzał się, nie dojrzał nigdzie Bolka. Poszedł, jak pies myśliwski gdy straci trop, w jedną, w drugą ulicę, zaglądał, węszył, i poterany, potłuczony powlókł się zwolna na Plac Grzybowski, skąd karetki pogotowia odwoziły rannych.

Szpieg zbliżał się chyłkiem, niepewnym krokiem, studyując wyraz humoru na twarzy Bolcewa.

Spostrzegł go rotmistrz, i odłączywszy się od grupy oficerów, skinął na niego:

— Co przynosisz?

— Chciał nieść sztandar... ale nie było wówczas policyi... po pierwszej salwie.

— Dobrze, cóż dalej?

— Uchylił się zręcznie od ciosu żandarma i uciekał w Twardą. Aresztowałem sam, ale tłum odbił go, mnie przytrzymał, bił i byłbym zginął, gdyby nie policya.

Bolcew szukał oczyma podoficera żandarmów, a ujrzawszy go, skinął na niego. Wezwany stanął przed nim po formie.

— Dziś od ósmej wieczorem, czekaj w biurze na mój rozkaz. Przygotuj pięciu sprytnych żołnierzy. Zatelefonuję... Zaraz w dorożki i na wskazane miejsce.

— Rozumiem! — stał wyprostowany.

— Czego chcesz?

— Czy nie uwiadomić panów oficerów?

— Nie... Sam zrobię rewizyę. Idź!

Dostaniesz się teraz w moje ręce, panie Żalecki, uśmiechnął się zadowolony ze znalezienia pozorów aresztowania, no, pogadamy ze sobą; i rozweselony przyłączył się do grupy oficerów.

Żalecki, smutny, zgnębiony, rozgoryczony przebiegiem i wynikiem manifestacyi, szedł prosto przed siebie, nie patrząc gdzie i którędy idzie.

Od czasu do czasu usłyszał głośniejszy jęk, ostre przekleństwo — to rannych odwozili krewni lub przyjaciele.

W grupach ludzi, idących przed nim i za nim rozmawiano głośno, z wielkiem podnieceniem o zajściu, bo tak nazywano manifestacyę na Placu Grzybowskim.

Gdy zbliżał się do Marszałkowskiej, spojrzał na zegarek, było już po piątej, poczuł głód i przypomniał sobie, że dziś prócz szklanki herbaty nic nie jadł. Wiedząc z doświadczenia, że po pierwszorzędnych restauracyach bywa najmniej ajentów tajnych, wszedł do takiej restauracyi.

W głównej sali zastał wszystkie stoliki zajęte, i gdy się rozglądał, posłyszał znajomy głos:

— Siadajcie przy mnie, jeśli się nie boicie — uśmiechnął się Cypryański.

— A, to wy!? — uścisnęli sobie ręce, a Żalecki siadając odparł: — nie boję się, bo i mnie poszukują.

Garson przyniósł talerze, bułki, piwo, i sprzątał.

— Słuchaj bracie — przemówił do niego Cypryański — słyszałeś co było dziś na Placu Grzybowskim?

— Sam nie byłem, ale wiem od świadków i słyszałem rozmawiających panów.

— I cóż?

— Zebrała się kupa, wywiesili sztandar, i myśleli głupi, że cały naród z kościoła przyłączy się do nich. I po co?

— Niechże powiedzą, czego chcą, bo na lep pieśni, której naród nie zna, nikt nie pójdzie.

— A cóż mówili inni panowie? — spytał Cypryański.

— Powiadali, że szkoda polskiej krwi...

— Słyszeliście? — spytał Cypryański po odejściu garsona — i widzicie ilu ludzi w sali. Założę się z wami, że przy żadnym stoliku nie rozprawiają o Placu Grzybowskim. Padły strzały, polała się krew polska... i bez echa!

— Wiecie kolego, mówmy o czem innem, ten temat rozdrażnia... a jestem i tak dzisiaj zgnębiony.

Rozmowa przeszła na wojnę i zwycięstwo świeże Japończyków nad Szaho.

Około ósmej godziny rozeszli się obydwaj w zgodzie, i Żalecki pragnąc dowiedzieć się czegoś o Oldze, poszedł do Heleny.

Zastał ich przy herbacie, oboje smutni i przygnębieni chybioną manifestacyą, licznemi aresztowaniami i rozlewem krwi.

Olga czuła się dzisiaj znacznie lepiej i na usilne jej prośby lekarz pozwolił jej wyjść w dniu jutrzejszym. Prosiła też, aby Bolek był u Heleny około godziny dwunastej w południe.

Już było dobrze po dziesiątej, gdy Żalecki wrócił do swego mieszkania. Zapalił lampę i zasiadł do przeglądania otrzymanych cenników podręcznych drukarń, gdy w jakie pół godziny usłyszał ostry stukot w drzwi kuchenne. Poszedł i spytał przez drzwi, kto?

— To ja, stróżka, żandarmi po pana.

— Żalecki spróbował, czy dobrze drzwi zamknięte od kuchni, następnie na klucz pozamykał drzwi w przedpokoju, i szybko schował przy sobie papiery Kozaka i Skały.

Chwilę namyślał się w jaki sposób ratować się, gdy posłyszał dzwonek w przedpokoju i wołanie:

— *Telegramma*!

— Wołaj zdrów, ja ci nie otworzę, mruknął do siebie, i podszedł do okna frontowego, lecz gdy spojrzał w ciemny dół dzielący go od ulicy, wzdrygnął się.

Zmierzył gzyms, zaledwie stojąc tuż przy ścianie, mógłby się przesunąć nachylony, gdyż gzyms dachowy nie pozwalał na wyprostowanie.

Padnę na ulicę, przy pierwszym kroku zginę, a papiery znajdą. Na spalenie nie było czasu, gdyż słyszał ostre uderzenia siekiery o zamek i włamywanie się również od kuchni.

Bezradny, blady z przerażenia wszedł do jadalnego pokoju, a chcąc przedłużyć chwilę ujęcia go, zamknął drzwi za sobą i położył rewolwer na stole.

Wzrok jego padł na leżący na podłodze sznur przeznaczony do okna, podniósł go, i nagle jak błyskawica przebiegła mu myśl spuszczenia się z balkoniku w jadalnym pokoju na niższe piętro.

Szybko zgasił lampę, otworzył drzwi balkonowe i wyjrzał. Światła w kamienicy były prawie pogaszone, zresztą balkonik był w rogu, przy murze, a pod nim w jednej linii były balkoniki na trzeciem, na drugiem i na pierwszem piętrze.

Przymknął o ile mógł dokładnie drzwi balkonowe, i zmierzył długość sznura. Podwójnie złożony starczył do balkoniku na trzeciem piętrze. Szybko założył go na żelaznej balasce baryery balkonowej i spuścił się na balkonik trzeciego piętra, ściągnąwszy sznur za sobą.

Na trzeciem piętrze mieszkał urzędnik rosyjski, jak o tem wiedział Bolek z biletu przy drzwiach. Ostrożnie założył sznur w podobny sposób jak na swoim balkonie i znalazł się na drugiem piętrze. Był to pokój jadalny mieszkania Olesi.

Żalecki przytulił się do ciemnego muru jak najbliżej, gdyż stuk głośny tak z drzwi frontowych jak i kuchennych ustał nagle. Nasłuchiwał. Znów rozległy się dobijania do drzwi wewnętrznych. Żalecki spojrzał w głąb ciemnego pokoju balkonowego. Po krótkiej chwili weszła Olesia i postawiła lampę na stole, nakrytym na dwie osoby, i zwolna podeszła do drzwi balkonowych, aby zapuścić storę.

Zapewne kolacya z Bolcewem, a ten w tej chwili w mojem mieszkaniu, pomyślał Bolek, i bez namysłu zapukał w szybę drzwi oszklonych.

Olesia odskoczyła i przerażona wpatrzyła się w szybę. Bolek wychylił się lekko na światło. Olesia odwróciła się i zabrawszy lampę, wyszła.

Zaklął z gniewu, gdyż rano dostrzegą go żandarmi i złowią w jego własny samotrzask.

Co teraz robić? Chyba spuści się na pierwsze piętro zamieszkałe przez samego właściciela. Ten schórzy napewno wobec odpowiedzialności, ale może służba będzie względniejszą.

Już miał zakładać sznur, gdy posłyszał cichy trzask otwieranych drzwi za sobą. Obejrzał się, drzwi były otwarte do wnętrza i rozległ się cichutki szept przynaglający:

— Prędzej!

Wszedł do pokoju, objęły go ramiona Olesi i szepnęła mu do ucha:

— Wyratuję cię, mój drogi.

Znów przymknęła drzwi i mówiła przyciszonym głosem:

— Ja cię ukryję... Ach, jak się cieszę, żeś uciekł... Bolcew przechwalał się, że przyprowadzi cię tu, do mnie, związanego... Uratowałeś się, mój drogi, mój miły...

— Wszystko to pięknie, ale wyjść nie mogę, bo żandarmi są w bramie, i bez legitymacyi i świadectwa stróża nie wypuszczą nikogo... gdzie mnie ukryjesz?

— Zaraz... Niech pomyślę...

— Wiesz... Wypraw służącą twoją na całą noc, prześpię się w kuchni, a rano namyślimy się co zrobić... Tylko śpiesz się.

— Ty w kuchni? Nie, na to nie mogę pozwolić, tyś dla mnie królewiczem.

— Nie rozgaduj się, tylko rób to, o co cię proszę, albo sam oddam się Bolcewowi.

— Jezus Marya! Nie bądź waryatem, już idę... Tylko cicho, bo zgubisz mnie i siebie.

Za kilka minut wróciła i wziąwszy go za rękę, zaprowadziła do kuchni.

— Zamknij się na klucz, nikogo nie puszczaj, powiem, że służąca, wychodząc, zamknęła. Rozumiesz?

W tej chwili doszedł ich uszu ostry dzwonek z przedpokoju.

— To on.. Zamykaj się.

Bolek spojrzał w okno, było starannie zasłonięte, zapalił zapałkę, znalazł kawałek świecy. Rozejrzał się w kuchni, łóżko było wcale wygodne, lecz póki Bolcew był tuż obok, bał się poruszyć, aby nie posłyszał szmeru. Usiadł na krześle, opatrzył rewolwer, zgasił świecę i czekał.

Po chwili usłyszał gniewny głos Bolcewa, przysuwającego z hałasem krzesło do stołu:

— Dlaczego nie otworzyłaś butelki z wódką? Nawet tego nie chciało ci się zrobić. Otwieraj!... Napij się do mnie!

Słyszał dźwięczenie nożów i widelców o talerze, a Bolcew mówił:

— Pytasz się o niego... nie ciesz się, uciekł jak kot po gzemsie na dach, ale schwycą go moi chłopcy, bo skrzydeł niema i nie poleci.

Znów po dłuższej pauzie dodał:

— Będzie wisiał... Są dowody... Nalej mi wina!... Kłaniał się, romansował z tobą... Nie przysięgaj, nie wierzę.. Nie płacz głupia!... Pij, kiedy ci mówię!...

Rozległ się dzwonek.

— Otwórz mu.. Niech tu przyjdzie.

Po chwili stuk i dzwonienie ostróg.

— Melduję pokornie... żadnego śladu... może skoczył na dach sąsiedni... wokoło trzypiętrowe... gdzieś spadł i zabił się.

— Rozstawić straże przy wszystkich drzwiach strychu — rozkazał rotmistrz — może odsunął deskę i przekradł się gdzie. W bramie straż, bez legitymacyi nie wypuszczać nikogo z mężczyzn. Raniutko zmienisz wartę i niech pilnują do odwołania, a surowo rozkaż każdego aresztować, ktoby się pytał o przestępcę. Rysopis przeczytałeś podwładnym?

— Tak jest.

— Możesz odejść... Zaczekaj! Jak go pochwycą dasz mi tu znać, a gdyby mnie tu nie było, do wiesz się od pani, gdzie jestem. Nie odprowadzać go do więzienia, lecz skrępować i pilnować w jego mieszkaniu póki nie przyjdę.

— Słucham.

Bolek posłyszał oddalające się kroki podoficera.

— Zrozumiałaś, co mówiłem do niego?

— Trochę.

— Przyrzekłem ci, że dostawię go tutaj do ciebie związanego i dotrzymam. Sam zdejmę mu kapelusz, aby ci się ukłonił — śmiał się głośno — dlaczego się nie cieszysz? Żałujesz lacha, o bo wy jak żydzi trzymacie ze sobą.

— ......

— Wiem, że i ty nie lepsza i pierwsza wydałabyś mnie Polakom...

— Nieprawda! Sam wiesz...

— Znam ja was podłe, polskie nasienie... ale poskromię ja was.

— ......

— Nie becz... *Czaju* niema?

— Nie.

— Zawsze to samo.

Posłyszał odsuwanie krzeseł i po chwili ucichło się wszystko.

Dopiero po dłuższym czasie wstał Żalecki, zapalił świecę i w ubraniu położył się na łóżku.

Jaki on inny był w Grodzisku, przy Oldze — rozmyślał o Bolcewie — i takiemu umizgać się do Olgi... Dreszcz nienawiści wstrząsnął nim.

Że ta dziewczyna pragnie go zdradzić, wcale się temu nie dziwię... tylko jakie spodlenie żyć z takim człowiekiem, a jednak coś w niej jest lepszego, jakiś cień, bo uratowała mnie. Nie zrobiła tego naturalnie z pobudek wyższych, ale bądź co bądź nie wahała się narazić siebie. A jeśli to jest tylko pułapką na niego, i wyda go, aby się przypodobać kochankowi?

Wstał, zapalił świecę, i starannie ukrył w ściennym wentylatorze papiery Kozaka i Skały. Teraz niech przychodzą, pomyślał, żywego mnie nie dostaną.

Posłyszał delikatne pukanie do drzwi od pokoju jadalnego. Milczał. Po chwili zapukano głośniej i posłyszał jej głos przyciszony:

— Otwórz... to ja.

Podszedł do drzwi i spytał:

— Sama?

— Otwórz... już poszedł do klubu.

Zakręcił kluczem, odstąpił kilka kroków, trzymając rewolwer w pogotowiu.

Weszła sama, ze świecą, w tem samem ubraniu, w którem ją widział.

— Niema go... chodź spocząć.

— A jeśli wróci?

— Owinęłam dzwonek watą, nie dostanie się do mnie... Chodź, naradzimy się co zrobić.

— Zaczekaj, wpierw łóżko zaścielę i sznur schowam.

— Ja sama to zrobię — i starannie zasłała łóżko, sznur rzuciła do paki — chodźmy do pokoju.. bardzo się nudziłeś tutaj, w kuchni?

— Słuchałem mimowoli waszej rozmowy.

— Słyszałeś? — zarumieniła się — on tylko dzisiaj był taki zły... bo wymknąłeś mu się, ale zwykle jest inny.

Stali oboje przy stole w jadalnym pokoju. Nakrycia były zmienione i stały świeżo nałożone zimne mięsiwa, wędliny, kawior, butelki z winem i piwem.



...Szybko założył sznur na żelaznej balasce baryery balkonowej i spuścił się na balkonik trzeciego piętra....

— Siadaj mój drogi, zjemy kolacyę, będzie nam weselej — a spostrzegłszy zaschniętą krew na jego rękach, zawołała z przerażeniem — co to? krew? zabiłeś kogo?

— Prawda, krew... nie zauważyłem, to sznur przetarł ciało do krwi... gdzie woda?

— W sypialnym — szła przodem ze świecą — masz mydło, ręcznik...

— Radziłbym ci... panno Olesiu, abyś dzwonek uwolniła z waty, gdyby on dojrzał, domyśliłby się podstępu, ukrywania kogoś... zgubisz siebie i mnie.

— Jeśli każesz... zdejmę. Czy mam iść?

— Idź i zdejm.

Po chwili wróciła wołając z uśmiechem zalotnym:

— Czy nie jestem posłuszna tobie?

— Jak dziecko kapryśne — zaśmiał się.

— Teraz, gdy masz czyste ręce, pójdziemy jeść... jestem głodna, a ty?

— Jak wilk, ale wpierw obejrzę twoje mieszkanie... ta szafa z półkami?

— W jednej połowie... gdyby kto przyszedł niespodzianie, mógłbyś się ukryć.

Pokój sypialny był cały w tonie różowym, obicia mebli, portyery, klosze lamp. Olesia w ciemnej, skromnej sukni, z bujnemi czarnemi włosami, ze smagławą, lekko zarumienioną twarzą, była bardzo ładną i nie spuszczała rozkochanych oczu z Bolka.

Salonik miał meble nowe, tchnął banalnością, czuć było że w nim nikt nie mieszka, nie było w nim bowiem nic, coby świadczyło o zamiłowaniu osobistem — nie miał w sobie nic indywidualnego.

— Rozkład taki sam jak u mnie — mruknął Bolek — a kiedy służąca przyjdzie?

— Zapewne około ósmej lub dziewiątej. Teraz jedzmy.

Zasiedli do stołu. Olesia starała się być jak najgościnniejszą. Zegar wskazywał piątą godzinę.

— Czas odpocząć... ty położysz się na mojem łóżku, a ja na otomanie.

— Nie Olesiu... nie mogę się rozbierać. Żandarmi domyślą się, że uciekłem przez balkon, zaczną się poszukiwania... mogą i tu przyjść.

— Do mnie?... Nie ośmielą się, nauczyłby ich Bolcew.

— On sam przecież może przyjść...

— Ależ on nienawidzi ciebie, dopiero zamęczałby cię, gdybyś się dostał w jego ręce! Powiedz mi prawdę, pewno między wami poszło o kobietę?

— Nie wiem... może o ciebie taki zazdrosny?

— O, nie! Ja się nie liczę... on zabiłby mnie, wyrzucił z mieszkania, ale nie mściłby się na obie do tego stopnia. On mnie wcale nie kocha... tylko tak sobie.

— A w jaki sposób ty się z nim poznałaś?

Zaczęła mu bardzo długo i szczegółowo opowiadać o swojej rodzinie, o nieszczęściach, o spotkanych zawodach, o pierwszem poznaniu Bolcewa, o jego zazdrości w pierwszych czasach. Następnie o swych wyjazdach za granicę, o sukniach i kłopotach ze służącą.

Jeszcze nie skończyła tych interesujących rzeczy, gdy nagle odezwał się ostry dzwonek w przedpokoju.

Zerwali się oboje bladzi, a ona szepnęła zbielałemi wargami:

— To on.

Żalecki schwycił ją za ramię, potrząsł silnie:

— Napij się wina, zrzuć suknię, otwórz mu. Zamknij mnie w szafie.

Wcisnął się pomiędzy wiszące rzeczy, a Olesia posłuszna automatycznie zrobiła, co jej kazał.

Zadzwoniono natarczywiej.

Żalecki przez cienkie ściany szafy słyszał lekkie kroki Olgi, otwieranie zamka i drzwi.

— Przepraszam bardzo panią — mówił ktoś obcy — ale niebezpieczny przestępca uciekł z czwartego piętra. Prawdopodobnie spuścił się z balkonu. Z obowiązku szukam... nie był u pani?

— U mnie?... Panie poruczniku — słyszał spokojny głos Olesi — od godziny ósmej wieczorem, do drugiej był moim gościem pan rotmistrz Bolcew, który na górze kogoś aresztował.

— Może pani nie wie... służąca jednak mogła go puścić z balkonu, z obowiązku muszę zrobić rewizyę.

— Jeśli pan chce... proszę.

Posłyszał kroki dwóch mężczyzn i spokojny głos Olesi:

— Tu salon... to mój sypialny, nie patrz pan, nieporządek, bo tak rano... a tu jadalny.

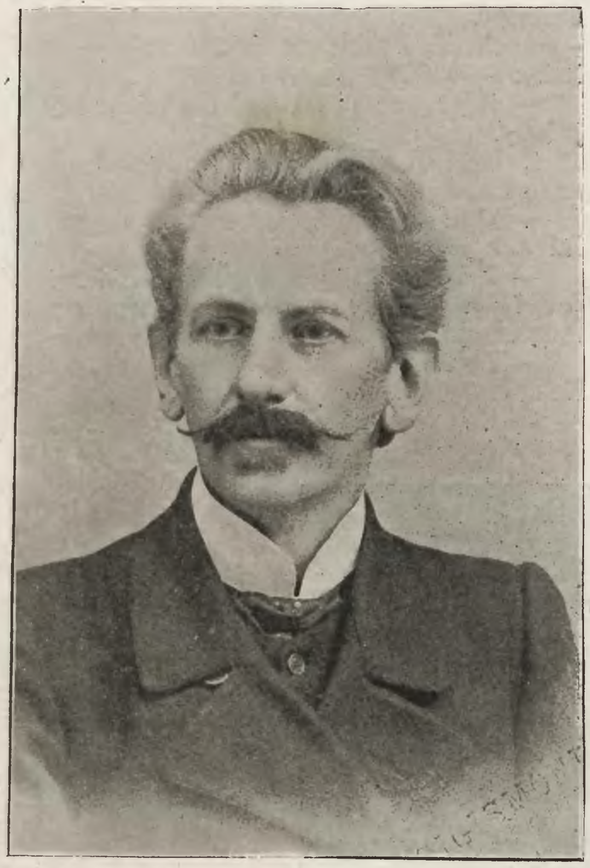
— Pani pozwoli, że obejrzę balkon.

— Dobrze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z za kraty więziennej.

Trudno dziś zliczyć tych wszystkich w Królestwie Polskiem, którzy wskutek zaszłych kolizyj z obowiązującemi prawami i obostrzeniami stanu wojennego znaleźli się w więzieniach.



Z za kraty więziennej: Od 2 miesięcy uwięziony w ratuszu warszawskim pod zarzutem czynnej agitacyi za strejkiem kolejowym, Franciszek Mielnicki, dziennikarz i urzędnik kolei nadwiślańskiej.

Spis by to był doprawdy olbrzymi, na tysiące! Tak samo pokaźnem byłoby i album więźniów politycznych, w którem nie brak, obok przewagi mężczyzn, również i kobiet; w którem reprezentowane są obok katolickiego, również wszystkie inne wyznania, wszystkie stany, od proletaryatu robotniczego i chłopów aż do dwu hrabiów (Tyszkiewicza i Scypiona); wreszcie przedstawiciele wszystkich stronnictw politycznych i społecznych, a więc anarchiści, komuniści, Bundziści, proletaryat, socyalni demokraci, członkowie polskiej partyi socyalnej, postępowi demokraci, narodowi demokraci, liberali, prócz jedynych „**ugodowców**“. Nad siły takie album stworzyć. Nie mniej godzi się materyały zbierać i przygotowywać. Rozrzucone więc po wielu pismach illustrowanych, może kiedyś zgromadzi w całość ręka jakaś zabiegliwa.

„Nowości Illustrowane“ z wdzięcznością przyjmować będą nadsyłane fotografie więźniów z datami na odwrotnej stronicy i w miarę miejsca zamieszczać pod rubryką „Z za kraty więziennej“, tak jak oto figuruje podobizna jednego z wielu tysięcy, od dwu blisko miesięcy uwięzionego w ratuszu w Warszawie **Franciszka Mielnickiego**.

Czynny, pracowity, z zawodu urzędnik kolei nadwiślańskiej, równocześnie dziennikarz a niedługo jubilat jako spółpracownik zawieszonego dziś „Kuryera Porannego“, uwięziony został p. Mielnicki niespodziewanie, w same święta, pod zarzutem czynnej agitacyi za strejkiem kolejowym. Zarzut ten nieudowodniony zawdzięczał p. M. zaufaniu powszechnemu i sympatyi, jaką cieszył się wśród kolegów zawodu, dzięki osobistym zaletom charakteru, koleżeńskości, ofiarności i uczynności.

Wzięcia tego samego zażywał też i w gronie redakcyjnem „Kuryera Porannego“, gdzie obok innych miał także dział sprawozdawczy z ruchu kolejowego. Sumienny i ścisły w swych referatach, umiał bystro pochwycić i uwydatnić wszystkie odcienia ówczesnych obrad i zebrań. Pióro jego wyrywało się również w dziedzinę poezyi, nowel, a nawet utworów scenicznych, granych swego czasu z powodzeniem.

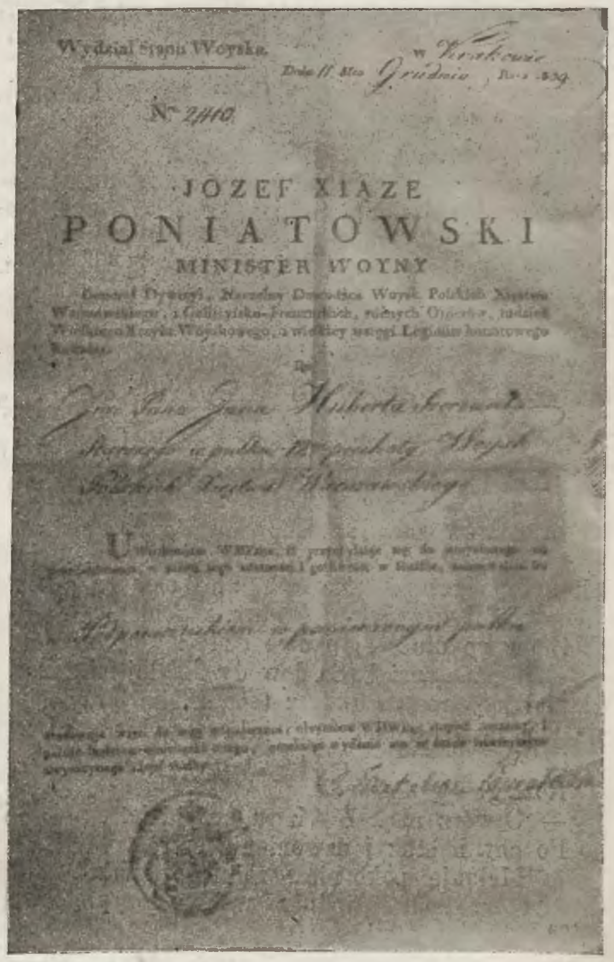
Ojciec licznej rodziny był zawsze jej przykładem i wzorem, umiejąc domowi swemu nadać ten szczerze polski charakter, który go tak miłym i cennym czyni dla bliższych i dalszych.

Wraz z rodziną gorąco życzyć należy więźniowi, by wydostał się znowu na wolność, gdzie czeka na niego umiłowana praca dla dobra społeczeństwa, wśród którego takiem cieszy się uznaniem.

Bejot.

Opowiadanie Sobolewskiego z Dziadów“.

Z powodu półwiekowej rocznicy zgonu Adama Mickiewicza, odbył się w całym kraju szereg patryotycznych wieczorków ku czci wieszcza, urządzonych, uroczyściej niż co rok, staraniem młodzieży szkół średnich. Między innymi do bardzo udatnych wieczorów Mickiewiczowskich należała uro-


Wydział Sztabu Woyska. w Krakowie
N° 2410
JÓZEF XIĄŻE
PONIATOWSKI
MINISTER WOYNY

Z księgi pamiątek: Odbitka fotograficzna oryginalnego dokumentu nominacyjnego z r. 1809 z podpisem księcia Józefa Poniatowskiego. (Ze zbiorów p. Krzemienieckiego fot. inż. H. Schall w Stanisławowie).



Opowiadanie Sobolewskiego z „Dziadów“: Grupa uczniów VIII. klasy gimnazyum w Stryju, odgrywających scenę więzienną z „Dziadów“ na wieczorku Mickiewiczowskim: więźniowie zapatrzeni w Sobolewskiego, słuchają jego tragicznego opowiadania o wywożeniu studentów z Wilna na Sybir.

czystość szkolna w Stryju, gdzie w wielkiej sali „Domu Narodnego“ abituryenci gimnazyalni, na cześć największego wieszcza naszego, wykonali bardzo artystycznie liczne produkcye deklamacyjne, muzykalne, wokalne, zakończone odegraniem, pod kierunkiem profesorów Tralki i dra Reinera, sceny więziennej z „Dziadów“. W tem przedstawieniu amatorskiem wystąpili uczniowie: Lewicki (Konrad), Kucharski (Sobolewski), Namysł (Frejend), Jonasz (Żegota), Christian (kapral), Stankiewicz (Tomasz), Onyszkiewicz, Cabicar, Krawczyszyn, Ehrlich, Geib, Aulich i Latoszyński. Niewątpliwie przyjemną pamiątkę dla uczniów VIII klasy, jak i dla młodzieży całego gimnazyum w Stryju stanowić będzie podana dziś przez nas fotografia, przedstawiająca więźniów zapatrzonych w Sobolewskiego w czasie jego słynnego opowiadania.

Z księgi pamiątek.

W dziejach naszych narodowych mało którą postać, obok Kościuszki, otacza taka aureola, jak księcia Józefa. To też nie bez rozrzewnienia spogląda każdy Polak na pamiątki choćby najbłahsze po tym ukochanym bohaterze. Do takich właśnie należy oryginalny dokument nominacyi z r. 1809 z własnoręcznym podpisem księcia Józefa Poniatowskiego, jaki tu zamieszczamy w wiernej odbitce, według fotografii inżyniera Henryka Schalla ze Stanisławowa. Pamiątka ta pochodzi ze zbiorów p. Krzemienieckiego, a opiewa, jak następuje:

„Wydział Stanu Wojska. Nr. 2410. W Krakowie dnia 11 grudnia roku 1809. Józef książę **Poniatowski**, minister wojny, generał dywizyi, naczelny dowódzca wojsk polskich Księstwa Warszawskiego i gallicyjsko-francuskich, różnych orderów, tudzież Wielkiego Krzyża Wojskowego i wielkiej wstęgi Legionu honorowego kawaler — do Jmć Pana Jana Huberta, sierżanta starszego w pułku 12-tym piechoty, wojsk polskich Księstwa Warszawskiego.

Uwiadamiam W. M. Pana, iż przychylając się do uczynionego mi przedstawienia z zaletą Jego zdatności i gorliwości w służbie, mianowałem Go podporucznikiem w pomienionym pułku. Stosownie więc do tego mianowania, obejmiesz WM. WPan stopień rzeczony i pełnić będziesz obowiązki onego, oczekując wydania Mu w czasie łatwiejszym zwyczajnego listu służby.

(Pieczęć)

Józef książę Poniatowski“.

Z dalekiej wyprawy.

Ksawery hr. Orłowski, ksiądz Matulanis i dyrektor Gabryel, oto trzy osobistości, złączone pracą i zasługą około jednego dzieła, jakim był oddział sanitarny warszawsko-łódzki w czasie wojny japońsko-rosyjskiej na Dalekim Wschodzie. Pierwszy, hrabia Orłowski, był tym naczelnym wodzem wyprawy, który powiózł ją w gotowej organizacyi z Warszawy i tam na miejscu w Charbinie czynnym był cały czas kierownikiem szpitala polskiego, gdzie ranni żołnierze Polacy zapełniali go przez cały czas wojny, znajdując tu nie tylko pomoc lekarską.



Z dalekiej wyprawy: Ksawery hr. Orłowski, organizator i kierownik warszawsko-łódzkiego oddziału sanitarnego w czasie ostatniej wojny na Dalekim Wschodzie, jego kapelan ks. Matulanis oraz protektor tego polskiego szpitala dla rannych i chorych żołnierzy na placu boju, dyrektor Gabryel, stojący na czele banku chińsko-rosyjskiego w Charbinie.

Duchownej dostarczał im Litwin ks. Matulanis, a w obu kierunkach nieocenione usługi oddawały siostry miłosierdzia, również Polki.

Przygotował wszystko na miejscu naprzód w Charbinie dyrektor banku chińsko-rosyjskiego, również Polak, p. Gabryel, tak, że za przyjazdem wyprawy, można było zaraz rozbić dla niej namioty w jednym z budynków, o które bynajmniej wówczas łatwo tam nie było.

W ten to sposób hen, w głębokiej Azyi utworzyła się jakby wysepka ojczystego kraju, w której działano po chrześciańsku, modlono się po katolicku, mówiono po polsku i zachowywano polskie zwyczaje i obyczaje.

Polski ten przybytek rannych i chorych wyróżniał się ładem i składem tak pochlebnie, iż nie brakło mu kandydatów nawet wśród wyższych wojskowych obcych narodowości, którzy wraz z pismami uznania i podzięki składali większe datki pieniężne.

B—t.

Zbrojenie Austro-Węgier.

Niemało popłochu wzbudziła świeżo depesza, która prasę europejską obiegła na podstawie informacyi jednego z dzienników peszteńskich, a donosiła, że w porcie w Poli stoją w pełnym rynsztunku bojowym i w całkowitej gotowości do natychmiastowego wyjazdu dwa okręty wojennej marynarki austro-węgierskiej, mające lada chwila odpłynąć do zatoki Kotarskiej.

Dzienniki węgierskie zapewniają, że uzbrojenie tych okrętów pozostaje w związku z coraz



Zbrojenie Austro-Węgier: Przed rezydencyą w Cetynii, w otoczeniu rodziny i dworu, panujący w Czarnogórze książę Mikołaj, którego zbrojenie się skłania Austro-Węgry do pogotowia wojennego.

widoczniejszemi zbrojeniami księstwa Czarnogórskiego. Władze z Kotaru nadsyłają bowiem alarmujące doniesienia.

Istotnie raz w raz rozchodzą się pogłoski, że Czarnogóra zbroi się na dobre. Z wielu stron w ostatnich dniach nadeszły potwierdzenia tych wiadomości wbrew urzędowym zaprzeczeniom. Zapewniają zaś jednocześnie ze strony miarodajnej, iż w ślad za tem postępują przygotowania energiczne do odpowiedniego zbrojenia Austro-Węgier.



Dawny znajomy: Zamierzający opuścić scenę warszawską, artysta i reżyser „Rozmaitości“, Roman Żelazowski, który teraz wystąpi gościnnie w miastach galicyjskich w towarzystwie lwowskiego teatru ludowego.

W chwili zatem, gdy z różnych przyczyn od pewnego czasu tak się wszyscy interesują tem małem ale niebezpiecznem państewkiem bałkańskiem, wydaje nam się rzeczą aktualną zamieścić fotografię malowniczej grupy dworu księcia Mikołaja Czarnogórskiego z rodziną panującą pośrodku. Brak w tej grupie tylko pięknej Heleny, córki tego sprytnego dyplomaty na tronie, która włożywszy na skronie królewską koronę w Rzymie, ułatwiła teściowi monarchy włoskiego politykę Czarnogóry na szeroką skalę.

Dawny znajomy.

Dawnego dobrego znajomego powitają teraz miasta galicyjskie w miłym i znakomitym gościu warszawskim. Z towarzystwem lwowskiego teatru ludowego zawita teraz na szereg występów w najlepszych swych rolach do Tarnowa, Rzeszowa i innych miast naszego kraju, świetny artysta i reżyser sceny warszawskiej, Roman Żelazowski, którego załączony tu portret przypomni publiczności galicyjskiej tyle miłych wieczorów teatralnych z czasów, gdy należał on jeszcze do stałych naszych ulubieńców, to w Krakowie, to znów we Lwowie, zanim go nam zabrało Królestwo. Nie wiadomo jednak, czy znakomity bohater sceniczny pozostanie nadal w składzie trupy „Rozmaitości“, podobnie bowiem, jak Frenkiel, nie zgodził się i Żelazowski na zmniejszenie gaży, zaproponowane artystom teatrów warszawskich i grozi ustąpieniem od 14 maja, ku zmartwieniu tamtejszych bywalców teatralnych, których świeżo właśnie zachwycił i porwał swą ostatnią kreacyą przeora Kordeckiego w „Obronie Częstochowy“, dawniej nieznanej w Warszawie, bo przez cenzurę niedozwolonej.

Ochrona młodzieży.

We Lwowie pracuje od dwóch lat Towarzyrzystwo „Ochrona młodzieży“, które w krótkim czasie zdołało zainteresować szerokie sfery społeczne i zaskarbić sobie poparcie ogółu. „Ochrona młodzieży“ postanowiła walczyć z opinią złych pedagogów i niewytrawnych wychowawców, jakoby młodzież nasza była złą; jest ona taką, jaką być musi, wchłaniając to, co dają jej dom rodzicielski, szkoła i codzienne życie. Celem Towarzystwa jest przedewszystkiem usuwać z drogi kusicieli, zakładających sidła na niedoświadczoną młodzież; urządza ono więc odczyty i pogadanki, które wiele pożytku przynoszą reprezentantom szkoły i rodziny; pilnuje by młodzieży nie dopuszczano w kawiarniach i wszelkich spelunkach nocnych do bachanalij i hazardu, a trwale i systematycznie przypomina społeczeństwu obowiązek czuwania nad fizycznem i duchowem zdrowiem młodzieży.



Ochrona młodzieży: Bolesław Lewicki, nowy prezes wielce pożytecznego Towarzystwa Ochrony młodzieży we Lwowie.

Rządy Towarzystwa spoczywają w ręku grona gorąco sprawie oddanych obywateli. Po bardzo energicznym i zasłużonym pierwszym prezesie radcy dworu Kunzeku obrano prezesem p. Bolesława Lewickiego, który jako młodszy od niego, pracuje z ogromnym, przedziwnym zapałem. Obowiązków obywatelskich ma on jak niewielu, a żadnego nie zaniedbuje, każdy stara się spełnić z dokładnością i sumiennością drobiazgową. W instytucyach społecznych, finansowych, w Radzie miejskiej, Komitecie obywatelskim, Towarzystwie dziennikarzy, w stowarzyszeniach filantropijnych i innych, wszędzie praca Bol. Lewickiego jest pożądaną, wszędzie on pilny, gorliwy i ofiarny.

To też i „Ochrona młodzieży“ odnosi duże korzyści z przewodnictwa energicznego Boles-



Specyalne zdjęcie fot. własnym aparatem „Nowości Illustrowanych“.

Pierwszy raut w nowej sali balowej: Grupa uczestników z gospodyniami rautu na kolonie wakacyjne 21 z. m. w odnowionym gmachu „starego teatru“ w Krakowie.

Lewickiego, z którego podobizną zapoznajemy dziś Czytelników naszych poza Lwowem, tam go bowiem znają wszyscy, kochają i szanują. *m. a.*

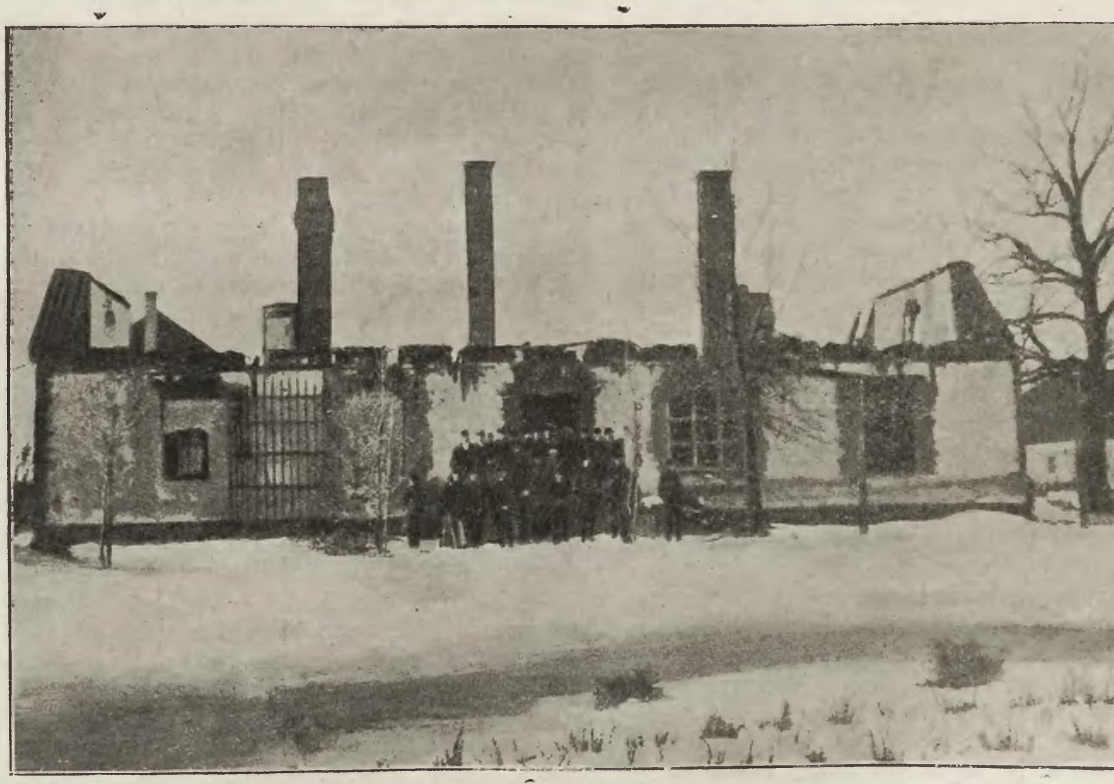
Pierwszy raut w nowej sali balowej.

Bieżący karnawał minął u nas bez zabaw hucznych. Tradycyjnych balów nawet komitety nie zapowiadały. Poza domowemi kółkami prawie nigdzie publicznie nie tańczono. Ostatnie wypadki bowiem, cały naród obchodzące, nie usposabiały wcale do wesołości i nie zachęcały do zabawy. Toteż najwybitniejszem zdarzeniem tego sezonu w Krakowie stał się nie bal — a raut wielki z koncertem urządzony w ostatnią środę na dochód Towarzystwa kolonii wakacyjnych i opieki nad młodzieżą szkolną, tem bardziej, że było to pierwsze tego rodzaju zebranie towarzyskie na wielką skalę w nowej sali balowej, w świeżo odnowionym i do użytku publicznego oddanym gmachu „starego teatru“ przy placu Szczepańskim. Komitet gospodyń pod przewodnictwem pań prezydentowych Leowej i Chylińskiej, dołożył wszelkich starań, by wieczór ten wypadł jak najlepiej i pozostawił dobre wspomnienie u licznych uczestników.

Nie mogąc dla naszych Czytelników dokonać zdjęcia sali balowej podczas rautu, schwyciliśmy przynajmniej na płytę fotograficzną grupę gospodyń tego wspaniałego zebania towarzyskiego na tle pięknego fragmentu klatki schodowej.

Tajemniczy Maksym.

Główny przewódca całego ruchu w prowincyach nadbałtyckich, stał się już postacią niemal legendową. Znany był dotąd tylko z imienia Maksym. Obecnie pisma rosyjskie przynoszą o nim nieco wiadomości. Ma on się nazywać Leon Perelman i jest synem fabrykanta sukna w Łodzi. Uczęszczał na wydział prawny w uniwersytecie warszawskim, wyjechał jednak, nie ukończywszy go, do Petersburga, gdzie wstąpił do szkoły technicznej. Jeszcze będąc studentem, dostał się w r. 1901 do więzienia, w którem jako członek „Bundu“ przesiedział w celi dwa lata. Odzyskawszy wolność, udał się do Paryża, gdzie studyował ekonomię polityczną, historyę, prawo i zwrócił na siebie uwagę pracą pod tytułem: „Oswobożdenie“. W roku ubiegłym powrócił do Rosyi i tu zaczął w popularnych odczytach krzewić wśród młodzieży rosyjskiej i żydowskiej teorye Lasalle'a i Marksa. Działalność swoją w tym kierunku rozpoczął potem w guberniach nadbałtyckich, z łotyskiemi jednak warstwami ludowemi nie mógł, z powodu nieznajomości języka, zetknąć się bliżej. W październiku roku ubiegłego socyalno demokratyczny komitet federacyjny polecił „Maksymowi“ zorganizowanie mityngów ludowych oraz strejku służby telegraficznej, pocztowej i kolejowej. Wybitny talent krasomówczy zapewnił Maksymowi powodzenie, tak, że w krótkim czasie pozyskał sympatyę nietylko warstw niższych, ale i w znacznej części inteligencyi.



Tajemniczy Maksym: Ruiny spalonego przez powstańców łotewskich, jednego z zamków nadbałtyckich br. Sieversa.



Tajemniczy Maksym: Scena z przeglądu wojsk przeznaczonych do stłumienia rewolucyi w prowincyach nadbałtyckich.

Gdzie się dziś Maksym tajemniczy podziewa, nie wiadomo. Zorganizowany zaś przez niego ruch rewolucyjny w kraju nadbałtyckim, jakkolwiek osłabł znacznie skutkiem represyi ze strony rządu, to jednak nie ustał jeszcze zupełnie, czego dowodem coraz to nowe wieści o niepokojach w Inflantach. Ale poza sporadycznemi wypadkami, znawcy miejscowych stosunków nie wróżą mu dziś wogóle dłuższego trwania wobec rozwinięcia w tych prowincyach stosunkowo ogromnej siły wojskowej i bezwzględnego sposobu tłumienia wszelkich objawów rewolucyi. Daliśmy już w „Nowościach“ szereg luźnych illustracyj z ostatnich wypadków w tych stronach. Dziś zamieszczamy więc nową ich wiązankę. Widzimy tu przegląd wojsk przez generał-gubernatora; tam znów przed jednym z pałaców nadbałtyckich, artyleryą dziś strzeżonym, mamy scenę odbierania raportu; inna rycina wyobraża ruiny spalonego przez Łotyszów zamku barona Sieversa; a ta mała wreszcie fotografijka przedstawia przykrą scenę, gdy straż prowadzi na plac egzekucyi jednego z rewolucyonistów skazanego na śmierć administracyjnym porządkiem.



Tajemniczy Maksym: Na Inflantach: straż odprowadza na plac egzekucyi jednego z rewolucyonistów, skazanego na śmierć administracyjnym porządkiem.



Tajemniczy Maksym: Pałac jednego z baronów niemieckich w kraju nadbałtyckim, strzeżony dziś przez artyleryę.

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

12 (Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XVI.

Tajna ajentka.

Dla Karoliny, która Mikego znała już poprzednio z widzenia, nie przedstawiało zbytnich trudności spotkanie się z nim. Jak jednak dawniej nie miała ku niemu żadnych skłonności, tak samo i teraz. Ale zajęła się nim bliżej, tak, jak adwokat zajmuje się swoim klientem, malarz swoim obrazem. Boć on miał być przecież materyałem, na którym ona miała wypróbować swoje zdolności. Co powoduje kobiety do zajęcia się tym lub owym mężczyzną, tego oni nigdy nie wiedzą. Mike Gloin nie przeczuwał z pewnością, do czego dążyła Karolina, okazując mu swoje względy.

W sztuce podchodzenia i obłudy była Karolina mistrzynią. Do rozwinięcia się tej żyłki u niej przyczynił się znakomicie krótki wprawdzie, ale wystarczający, pobyt w wielkim mieście. I z ciemnymi stronami wielkiego miasta, ze spelunkami i norami, obznajomila się doskonale, i pomimo to, że w domu otrzymała była bardzo staranne wychowanie, przyswoiła sobie bardzo prędko język, zwyczaje i nałogi mętów i szumowin nowojorskich.

Mike, który rad chełpił się swojemi względami u kobiet, czuł się z powodu dotychczasowej obojętności Karoliny nieco obrażonym i podrażnionym. Nagła zmiana w jej zachowaniu się wobec niego byłaby innemu człowiekowi z natury rzeczy wydała się podejrzaną; on jednak uważał to za zwycięstwo, które wcześniej czy później spodziewał się odnieść. Jej początkowa obojętność skłoniła go tylko do tego, że coraz bardziej, coraz natarczywiej ubiegał się o jej względy. Ona zaś udawała, że stopniowo coraz bardziej nim się zajmuje, umiała jednak trzymać go zawsze zdaleka, a temsamem drażnić go jeszcze bardziej.

— Z tobą, Mike — mówiła do niego — to gorsza sprawa, niż z innymi mężczyznami. Ja wiem, że ty sobie nic ze mnie nie robisz i że ja bym ci się prędko sprzykrzyła. Ale ja nie upadłam tak nisko i dlatego nie chcę ci się rzucić w ramiona. Bądźmy dobrymi przyjaciółmi i niczem więcej!

Można sobie wyobrazić, co na takie *dictum* odpowiadał Mike. Jednak te ich rozmowy miłosne nie przedstawiają zbytniego interesu, pominiemy je przeto milczeniem. Nadmienić jedynie musimy, że Karolinie udało się czasem zawładnąć powoli w zupełności Mikem, tak, że jak on sam niejednokrotnie mówił — gotów był wszystko zrobić, czegoby zapragnęła. A tymczasem Karolina zdawała z każdej z nim rozmowy dokładny raport inspektorowi.

Ostatecznie postanowiono zrobić próbę, czy się nie uda wydrzeć Mikemu jego tajemnicy.

Mieszkanie Karoliny znajdowało się na odleglejszem, ale nie zbyt jeszcze osławionem przedmieściu niedaleko skweru Waszyngtona. Składało się ono z dwóch oddzielnych pokoi, przedzielonych krótkim, wąskim korytarzykiem w ten sposób, że drzwi do pokoi znajdowały się na obu jego końcach. Mike dotychczas nie znał jej adresu. Zdawało mu się jednakże, że dopiął nareszcie swego celu, gdy go pewnego dnia Karolina zaprosiła na kolacyę.

Inspektor Byrnes, dając jej jeszcze ostatnie wskazówki, jak ma postępować, kazał jej wszelkiemi siłami dążyć do tego, aby mogła zajrzeć w głąb złej duszy Mikego.

— Mamy podstawy do przypuszczenia — mówił do niej — że Mike popełnił wielką zbrodnię. Nie dziw się więc bardzo, jeżeli się pokaże, że to zbrodnia wprost okrutna.

— Zrobię, co będę mogła, panie inspektorze — odparło dziewczę — a zdaje mi się, że uda mi się wyciągnąć zeń, co potrzeba.

— Wyświadczysz tem sprawiedliwości olbrzymią przysługę — rzekł. — Jak na dziewczynę, jest to wprawdzie straszny obowiązek, ale mam nadzieję, że się dobrze wywiążesz z zadania. No idź, a niech ci się uda!

Po południu oznajmiła Karolina swojej gospodyni, że na kolacyę przyjdzie do niej dwóch panów. Jeden, którego nazywała bratem, miał przyjść może godzinę wcześniej i zaczekać na nią. Drugiego miała sama przyprowadzić.

Przy sposobności dowiedziała się już była poprzednio, ile Mike potrafi wypić i kiedy dochodzi do takiego stopnia otwartości, że się może wygadać. Postarała się więc o odpowiednie zapasy trunków, przygotowała wszystko jak najlepiej, ubrała się w najładniejsze suknie i wyszła.

Było to około siódmej wieczorem.

W godzinę później zgłosił się do jej gospodyni jakiś pan z zapytaniem, czy Karolina już wróciła, a kiedy ta odpowiedziała przecząco, zapytał, czy jej nie powiedziała przypadkiem, że ma do niej przyjść jej brat. Wobec tego gospodyni otworzyła mu mieszkanie Karoliny i poprosiła go, aby na siostrę chwilę zaczekał. Nieznajomy udał się więc do pokoiku Karoliny i słuch o nim zaginął. A był to człowiek rzeczywiście spokojny i cierpliwy, bo Karolina wróciła dopiero koło dziesiątej wraz ze swym przyjacielem.

Weszli oboje do pokoju, ale po nieznajomym bracie ani ślad nawet nie pozostał. Znikł gdzieś, jak kamfora. Karolina rzuciła okiem na kominek. Znajdowała się na nim mała piramidka z papieru. Widok ten uspokoił ją w zupełności. Rzuciła papier do ognia i zajęła się w zupełności jedynym swoim widzialnym gościem.

Mike był, jak się zdawało, w najlepszym humorze i bardzo zadowolony. Zdjął kapelusz i zarzutkę, rzucił w kąt niedopałek papierosa i podszedł ku dziewczynie z najsłodszą, jaką mógł zrobić, miną, chcąc ją uściskać. Ale Karolina wymknęła mu się i przegrodziła od niego stołem.

— Nie rób hec, Mike — rzekła do niego — pod tym przecie warunkiem zaprosiłam cię do siebie. Jeżeli się nie będziesz zachowywał jak należy, to powiadam ci, że już więcej u mnie noga twoja nie postoi. Miałam zamiar zjeść razem z tobą w wesołem towarzystwie kolacyę i nagadać się za wszystkie czasy. Przecież my się prawie nie znamy, a jeżeli mamy być przyjaciółmi, to musimy się poznać. Będziesz więc spokojny, czy nie?

— Taką dziewczynę pierwszy raz w życiu spotykam — mruknął niechętnie Mike. — Wiesz o tem, żem się w tobie zadurzył i chcesz mnie wodzić za nos!

— Ależ ja cię przecie zupełnie nie znam — odparło dziewczę, zastawiając kolacyę, podczas gdy Mike sadowił się na wygodnej kanapie. — Nigdyś mi o sobie ani słówka nie wspomniał. Piękną twarz może mieć nawet najgorszy łajdak, a zdaje mi się, że ty jesteś nie lepszy.

— Ja nie lepszy? — zawołał Mike, wybuchając śmiechem — skądże ci na myśl przyszły takie żarty?

— Mówią przecie, że ty się nie wzdrygniesz nawet przed potwornością, bo jesteś wyzuty ze wszelkich ludzkich uczuć.

— Mężczyzna nie powinien być mamką, jakbyś ty chciała.

— Broń Boże! Mężczyzna powinien być mężczyzną, to się samo przez się rozumie. I gdybym wiedziała, że mnie który z nich kocha, mogłabym mu wiele darować. Ale po co ta gadanina. Ot, napijmy się lepiej! To ci dobrze zrobi!

Wyjęła ze szafy flaszkę likieru, odkorkowała ją i nalała do dwóch szklanek, z których jedną podała Mikemu; łotrzyk, skosztowawszy odrobinę i przyjrzawszy się etykiecie na flaszce, zawołał:

— Do kroćset! Ten gatunek mi się podoba! Poniżej trzech dolarów flaszki się nie dostanie!

— Złych rzeczy nie mam — odparło dziewczę, odrzucając w tył głowę — a, naturalnie, ty otrzymujesz to, co najlepsze.

— Nie każda może się takim trunkiem pochwalić — zauważył — chciałbym też wiedzieć, z której kasy pieniądze na to płyną?

— Mam swoje tajemnice, tak samo jak ty — brzmiała odpowiedź. — Jeśli wiesz, na czyje dobro moich pieniędzy używam, to się nie potrzebujesz pytać, skąd je biorę.

— Masz racyę — skinął jej głową. — Kto chce mieć pieniądze, ten je ma, taki już jest porządek rzeczy na świecie. Jeśli zaś wiesz, skąd brać pieniądze, tem lepiej. Wydawać je możemy już oboje, to znaczy, że ja także coś będę dokładał. I moglibyśmy sobie stworzyć wcale nie zły byt. Jak sądzisz?

— Co mi po twoich pieniądzach, Mike — odparła, darząc go powłóczystem spojrzeniem i napełniając na nowo jego szklankę. — Przecież ty i tak nie masz ich za dużo, bo skądżeby? Nie słyszałam nigdy, żebyś ty się czem trudnił na seryo.

— No, no, nie zawsze ma pieniądze ten, kto pracuje — rzekł Mike, mrużąc znacząco oczy. — Ja wiem tylko tyle: jeżeli chcę mieć pieniądze, to je mieć muszę i mam! Taki drab, który zna Nowy Jork jak ja, nie może ich nie mieć!

— Tak ci się gada! A gdybyś tak jutro chciał mieć dwadzieścia dolarów, skądżebyś je wziął?

Mike wychylił do dna szklanicę i nalał sobie na nowo.

— O to się nie troszcz! — zawołał — jużby się to zrobiło. Znam tuzin ludzi, którzy każdej chwili gotowi są dostarczyć mi sumy pięć razy większej. We wszystkich teatrzykach, we wszystkich kawiarniach, znają mnie tak dobrze, jak na wyścigach. A wszyscy wiedzą, że lepiej dla nich, abym był ich przyjacielem, o tem i ty sobie zapamiętaj.

— O ile wiem, nie jesteś przecie bokserem.

— Jeżeli potrzeba, to i moje dłonie na coś się przydać mogą. Ale przecie, aby się komu dać we znaki, nie potrzeba wcale podbijać oczu pięścią!

— Nie mów tak, bo się zaczynam obawiać — zawołało dziewczę — cieszę się, że nie jestem mężczyzną; nie chciałabym cię nigdy rozdrażnić, bo bym się bała o życie.

— A mnie zaś cieszy fakt, że ty jesteś dziewczyną; podobasz mi się; i niech uważa każdy, zanim by się zabrał do ciebie, bo mógłbym...

— Oho, Mike! Jak ty się lubisz chełpić! Nie zrobiłbyś nic złego człowiekowi, który by się mną zajął — ty tylko tak mówisz!

— Tak sądzisz? No, ja nic nie mówię. Ale słuchajno! Ty przecie nic nie pijesz! Wypróżnijmy tę flaszkę do dna!

— Mam jeszcze coś w zapasie — zawołało dziewczę i przyniosło na stół nową flaszkę. Na widok jej rozjaśniła się twarz Mikego; oparł się wygodnie o poduszki kanapy i rzekł, cmokając językiem:

— Muszę przyznać, że tu u ciebie przyjemnie. Mam zamiar nigdy się stąd już nie wynosić. Możebyśmy tak odrazu tę sprawę załatwili?

Karolina roześmiała się.

— Naprzód muszę wiedzieć, co ty o mnie myślisz, Mike. Czem ty jesteś i co robisz, to mnie wcale nie obchodzi. Ale muszę być pewną, że nie myślisz ze mną postąpić niegodnie. Dopóki tego nie wiem, możemy się oboje bardzo dobrze bawić od czasu do czasu i na tem poprzestać.

Mike nachylił się nad stołem, podparł głowę rękoma i wpatrzył się w oblicze Karoliny.

— Czego ty chcesz właściwie? — zapytał — co ja mam zrobić? Powiedz mi raz wreszcie otwarcie!

— Skądże ja to mam wiedzieć? — odparła. — Rób, co możesz. Ale to ci mówię odrazu, że nie ulegnę twoim żądzom i nie oddam ci się, chociaż ty masz nademną przewagę fizyczną i możesz użyć gwałtu. No, a teraz pijmy, stary drabie!

— Słuchajno, nie masz jakiej silniejszej wódki? — zapytał, wypróżniając szklankę.

— Ale owszem — odparła Karolina, podchodząc znowu ku szafie. — Mam tu coś dla ciebie, co cię z pewnością rozgrzeje.

Mike nalał sobie szklankę z nowej flaszki, spróbował i rzekł:

— No, to jest dobra wódka, to przynajmniej człowieka pokrzepia.

Wychylił szklankę i usiadł zamyślony, patrząc strasznym wzrokiem na flaszkę. Teraz był on dopiero we właściwej roli. Twarz jego przybrała wyraz zawziętego uporu i dzikości, a przez to stała się wprost wstrętną. Przebijały się na niej te czarne plamy, jakie zbrudziły jego sumienie.

Karolina to spostrzegła. Zdawało jej się, że nadeszła chwila, kiedy będzie się mogła dowiedzieć o jego tajemnicach. To, z czem się dotychczas wygadał, było zanadto niedokładne, aby mogło służyć w sądzie jako dowód. Trzeba go było zmusić do tego, aby wymienił jakie ze swych zbrodni. Karolina wstała więc z krzesła, siadła obok niego na kanapie i położyła mu rękę na ramieniu.

W tej chwili dał się słyszeć lekki szmer, a równocześnie drzwi nagle się rozchyliły, tak, że do pokoju można było zajrzeć przez szparę. Dziewczę wiedziało, co ten szmer znaczy, ale Mike był zanadto zajęty nią samą. Chociaż wódka już mu trochę zamąciła zmysły, jednak widział jeszcze dobrze, jak piękną, jak powabną jest Karolina.

— Wiesz, Mike — zapytała słodko — co mnie odrazu do ciebie ciągnęło?

— No, cóż?

— Przypominasz mi człowieka, którego dawniej znałam i którego rzeczywiście kochałam. Byłam jeszcze wtedy młodą dziewczyną i nie znałam świata. Takim ładnym, jak ty, on nie był, ale miał wyraz twarzy podobny. Przyszedł mi właśnie na myśl pogo obraz, kiedym cię ujrzała tak zamyślonego, z wzrokiem utkwionym w dal. O czem ty myślałeś?

— Ja? O niczem!

Wzruszył ramionami i rzucił się w głąb kanapy.

— O czem miałem myśleć? — ciągnął dalej — Sen mię zmorzył.

— Był on w twoim mniej więcej wieku, ale ty nie jesteś tak sprytny, jak on. Pewnego wieczora siedzieliśmy oboje, ot tak, jak my teraz, a on mi opowiadał o pewnej zbrodni, którą popełnił. Nikt o tem nie wiedział, oprócz mnie i nikt wiedzieć nie będzie. Nie mówiłam o tem z nikim.

— Któż to był? — zapytał Mike.

— Nazwiska ci nie wymienię. On mi zaufał, a ja go nie zdradzę, nawet przed tobą.

— A gdzież on teraz przebywa?

— Zdaje mi się, że w Ameryce południowej. Uciekł i już nigdy tu nie powróci.

— Uciekł? A dlaczego musiał uciekać?

— Mogę ci powiedzieć, co zrobił — rzekła Karolina po chwili milczenia — bo i tak nigdy się nie dowiesz, jak on się nazywał. On — zamordował człowieka.

Mike powstał gwałtownie i rozejrzał się po pokoju. Wargi mu drżały, zaciskał zęby, zgrzytał i wprost pienił się ze złości. Unikał wzroku Karoliny, chwycił flaszkę i wypił wódkę aż do dna, poczem dopiero ozwał się powoli i z naciskiem:

— Był to skończony dureń, jeśli o tem dziewczynie opowiadał!

Słowa te rozczarowały Karolinę, opanowała się jednak i rzekła bez cienia zmieszania:

— Nie potrzebował tego żałować, bo ja mu życie uratowałam. Ja mu ułatwiłam udowodnienie jego alibi.

Mike milczał przez chwilę. Widocznie coś ważył w myśli. Opowiadanie Karoliny, chociaż mogło go było uderzyć, nie zdawało się wywołać u niego wątpliwości. On myślał zupełnie o czem innem, a mianowicie o tem, że choćby się wygadał przed Karoliną z jaką zbrodnią, przez siebie popełnioną, to jednak jej zeznania przed sądem nie byłyby ważne, chyba, żeby je trzecia jakaś osoba, więcej wiarygodna, potwierdziła. Ale jej stosunek do niego mógł się bardziej zacieśnić, jeżeliby jej o swych czynach opowiedział.

— Słuchaj dziewczyno — rzekł wreszcie — coby to było, gdybym ja był takimsamym durniem, jak tamten? Powiadasz, że jestem do niego podobny?

— Co chciałeś powiedzieć? — zawołała, tłumiąc oddech w piersiach. Serce biło jej jak młotem, policzki gorzały. Więc jej misya by się udała? Odwróciła się do niego, a wzrok jej padł na drzwi, które się teraz jeszcze więcej odchyliły.

— Opowiem ci — rzekł Mike niepewnym głosem — cośmy tu niedawno zrobili. Było nas czterech. Ja, Baufield, Healy i Morrisey. Wynajęliśmy wózek i wyjechaliśmy około dziewiątej na łów. Baufield jechał, a ja szedłem za nim z towarzyszami, jakbyśmy go wcale nie znali. Wyjechaliśmy na jednę z większych ulic. Baufield stanął przed pewnym szynkiem. Przed drzwiami leżała beczka rumu. W szynku się jeszcze świeciło, ale na beczkę nikt nie zwracał uwagi. Postanowiliśmy ją zabrać. Ja z Healym podniosłem ją do góry i właśnie miałem ją rzucić na wóz, kiedy nagle Baufield zawołał: „Chłopcy! uwaga“! Miał racyę, że nas przestrzegł, bo z za rogu wybiegł policyant i leciał ku nam. Przybiegł, schwycił Healego za kołnierz, ale Baufield łupnął go batem, aż mu czaszka jękła, potem ja mu dałem pięścią w kark, że mu się w oczach zamgliło, bo zwalił się na ziemię jak kłoda. Morrisey uderzył go jeszcze potężnie między oczy na pożegnanie, poczem uciekliśmy wszyscy, rozumie się z beczułką rumu.

W ciągu tego opowiadania Mike raz po razu napełniał wódką swoją szklankę, illustrując słowa odpowiedniemi ruchami i gestami. Przy końcu jednak język począł mu się coraz bardziej plątać, tak, że z ust wychodziły mu niezrozumiałe jeno dźwięki. Karolina spostrzegła wkrótce, że historya ta niema nic wspólnego ze sprawą, ktorej śledzenie jej częściowo poruczono. Takie zbrodnie zdarzają się w Nowym Jorku bardzo często i nawet nie są ciężko karane. Wprawdzie był to zamach na władzę, ale wątpić należało, czyby policya dla wyśledzenia sprawy takiej zbrodni przedsiębrała śledztwo tak ciężkie i trudne.

Młoda ajentka przyszła więc do przekonania, że główny cel jej pozostał nieosiągnięty. Mike Gloin był albo niewinnie posądzanym, albo też zbyt sprytnym, aby się dobrowolnie zdradzać. Tak czy owak jednak pewnem już było, że nie uda się jej już nic z niego wydobyć, że więc dalsze pytania są nie na miejscu.

Chodziło teraz o to, aby się niemiłego gościa jak najprędzej pozbyć. Wsypała mu więc do szklanki z wódką proszku na sen, w jaki się zawczasu zaopatrzyła. Skutek był wkrótce widoczny. Mike zapadł w ciężki sen. Wtedy drzwi się otworzyły, a na progu ukazał się ów „brat“, który przez cały czas uczty był niewidzialny.

— Robiłam, co mogłam — rzekło dziewczę smutno — ale napróżno. Historya, jaką mi opowiadał, niema z pewnością związku z tą sprawą.

— Dzielnieś się pani spisała — odparł „brat“ — powiem to przełożonym. Wprawdzie Mike nie powiedział tego, cośmy chcieli wiedzieć, ale w każdym razie trafiliśmy na swego. A zresztą ta historya z wózkiem może nam się także przydać.

— Więc to historya prawdziwa?

— Tak jest. Wypadek ten zaszedł przed dwoma dniami. Znaleziono na ulicy policyanta nieprzytomnego, a zbrodniarze uciekli. Ale policyant twierdzi, że tych drabów rozpozna. O ile mnie się zdaje, ta sama banda brała udział i w tamtej sprawie. Jak dotychczas nie mamy najmniejszych danych, aby ich aresztować, ale to, co tutaj słyszałem, zupełnie nam wystarczy. Jak tylko Mike Gloin ze swymi kamratami znajdzie się w ręku inspektora, to już i prawda wyjdzie na jaw.



.. Masz racyę — skinął jej głową. — Kto chce mieć pieniądze, ten je ma, taki już jest porządek rzeczy na świecie. Jeśli zaś wiesz, skąd brać pieniądze, tem lepiej....

— Co mogę, to robię dla inspektora — rzekła Karolina — bo cieszy mnie, jeżeli mu przecie mogę w czem być pomocną. Ale cóż ja mam zrobić z Mikem?

— Ułożymy go na sofie — odparł detektyw — będzie spał gdzie do dziesiątej, do jedenastej rano. Jeżeli pani nie chce tutaj pozostać przez noc, to niech pani pozwoli ze mną do hotelu; wynajmę dla pani pokój.

— Nie, dziękuję, ja tu pozostanę. Nie boję się — rzekło dziewczę, uśmiechając się. — O której godzinie mam być jutro w biurze?

— Koło południa. Do tego czasu ja mu złożę dokładny raport, a jeżeli będzie chciał czegoś bliższego się dowiedzieć, to pani go objaśni.

— Dobrze. Będę tam w południe.

Detektyw ułożył Mikego na sofie, pożegnał Karolinę i wyszedł. Dziewczyna patrzyła przez chwilę na leżącego jak kłoda rzezimieszka, westchnęła głęboko, odeszła do drugiego pokoju i zamknęła się w nim. Obowiązki, jakie teraz wzięła na swe barki, nie były przyjemne, ale w każdym razie przyjemniejsze, niż jej dawne życie.

ROZDZIAŁ XVII.

Promienie światła.

Tego samego wieczora znalazł się Ślimak w dyrekcyi policyi przy ulicy Mulberry. Że z czemś nowem przychodził, poznał zaraz inspektor po błysku jego oczu.

— Cóż tam nowego? — zapytał z uśmiechem — Uczyniłeś pan jakie odkrycia tyczące się pułkownika Desmonda, czy też wpadłeś pan może na trop fałszerza owego kwitu zastawniczego?

— Z tą sprawą — rzekł Ślimak, wyciągając notatnik, do którego później w czasie swojej relacyi dosyć często zaglądał — załatwimy się, jak sądzę, bardzo prędko. Naprzód chciałem wpaść na trop fałszerza. Pytałem więc Sibleya, kto mniej więcej był w lombardzie w chwili, kiedy zastawiano papierośnicę. We trójkę przeglądnęliśmy skrupulatnie książki. Papierośnica była zastawiona na kwit numer 983; poprzednio zastawiono surdut z jedwabną podszewką, a po papierośnicy srebrny zegarek. Człowiek, którego szukamy, musiał więc posiadać kwit na jednę z tych rzeczy. Surdut zastawił niejaki Karol Schnabel, gość w lombardzie dosyć znany. Jest to członek dramatycznej trupy niemieckiej, a więc niema mowy, aby on był fałszerzem. Zresztą on się już musiał był załatwić z zastawem, kiedy wszedł właściciel papierośnicy. Tak przynajmniej twierdził sam Sibley.

— A więc numer 984 — rzekł inspektor.

— W książce był zapisany John Robertson, zamieszkały przy ulicy Broadwy nr. 1280. Ani Sibley, ani jego pomocnik nie mogli go sobie w pierwszej chwili przypomnieć. Prosiłem ich więc, aby sobie przywiedli na pamięć wszystkie szczegóły tego dnia, a sam udałem się za wskazanym w książce adresem. Jednak, jak się spodziewałem, w domu tym nie znano osoby o takiem nazwisku.

— Ciekawe — szepnął inspektor.

— Powróciłem do Sibleya. Pomocnik jego, Izaak, przypomniał sobie, że człowiek, który się podał jako Robertson, przyszedł był do lombardu właśnie w chwili, kiedy Sibley załatwiał się z właścicielem papierośnicy. Sibley natomiast twierdził, że już poprzednio ktoś był w lombardzie, dodał jednak. że się może myli, bo był zajęty wyłącznie owym panem, który papierośnicę zastawiał. Izaak zaś podtrzymywał swoje twierdzenie z całą stanowczością. Pytałem go, jak ten człowiek wyglądał. Odparł, że to był młodzieniec, mówiący trochę innym akcentem, nie tak jak Francuz, albo Niemiec, nie jak Irlandczyk, ale też nie tak, jak rodowity Amerykanin. Nareszcie przyszło mu na myśl, że to był Anglik.

— Młody Anglik o rumianej twarzy? Znaczyłoby to, że był nim Robert Johnson — rzekł inspektor po chwili namysłu.

— O tem właśnie myślałem — zawołał Ślimak z odcieniem zadowolenia w głosie. Nazwisko to wydało mi się takie znane, odrazu sobie pomyślałem: John Robertson to nie inny, jeno Robert Johnson. Chciałem się tylko upewnić. Udałem się więc na Jersey City, odnalazłem mieszkanie Johnsona i chciałem z nim mówić. Gospodyni jego powiedziała mi, że on jest w zakładzie i że wróci dopiero późno wieczór. Wdałem się więc z nią w pogawędkę. (C. d. n).

Oszust i zbieg warszawski.

Wpadł jak kamień w wodę, którą latami całemi mącił urokiem „firmy“ solidnej, odziedziczonej po ojcu, łowiąc w zastawione sieci zaufania wszelkiego rodzaju ryby, grube, duże, aż do najcieńszych małych, od książąt i hrabiów aż do własnych oficyalistów, aż do windziarzy i służby hotelowej. Spławiał tą mętną wodą Wisły krwawicę tysięcy robotników cukrowni krajowych wraz z dorobkiem ich właścicieli; nie gardził również oszczędnościami wdów i sierot, jak i powierzanemi mu kapitałami T-wa wyścigów konnych. W „gründera“ się bawił, należąc swego czasu do spółki zakładającej milionowym kapitałem hotel Bristol. Dobroczyńcą był własnego personalu urzędniczego. Nie szczędził podwyżek, zwiększania pensyj, noworocznych remuneracyj, zwalniając urzędników nadto w ostatnich latach nawet od tak żmudnej pracy, jaką jest sporządzanie bilansów! Umiał w ten sposób tak dalece ogniskować wszystko w swem ręku, że jeszcze na kilka dni przed krachem nie mieli urzędnicy najmniejszego pojęcia o stanie interesów. Łudził wszystkich do ostatniej chwili pozorami pewności siebie, giętkości, uprzejmości przy pewnej szczerości, po za którą kryło się wielkie oszustwo.



Oszust i zbieg warszawski: Właściciel i szef domu bankierskiego w Warszawie, Władysław Rawicz, który zbiegł bez wieści, zostawiwszy niewypłacalności około 3 milionów rubli.

Jeszcze w nocy, poprzedzającej o kilkanaście godzin samą ucieczkę, nie wahał się zażądać 5000 rb. od jednego z bliższych, rzekomo w celu wyprawienia za granicę jakiejś bardzo zasłużonej sprawom krajowym osobistości, prześladowanej przez reakcyę rządu. Składane w ostatnich dniach kapitały, fundusze, oszczędności, najdrobniejsze nawet brał, inkasował z całym spokojem bezecnego oszusta, który sprytnie przygotował i wykonał swoją nagłą ucieczkę za granicę.

Wieść o niej spadła swego czasu jak grom na tysiące oszukanych i zrujnowanych. Własny jego długoletni prawy kasyer Fiałkowski pod brzemieniem nieszczęścia targnął się na życie wystrzałem z rewolweru... Dom bankowy przy ul. Erywańskiej znalazł się w oblężeniu zrozpaczonych. Z Berlina już nadesłał zbieg-oszust krokodyli manifest pożegnalny do swych urzędników z zapowiedzią samobójczej śmierci w chwili, gdy ekspresami zdążał tymczasem do Magdeburga, by tam oszukańczo podnieść na swoją rzecz flotę tak pokaźną jak 180.000 marek! Następnie z rozwiniętemi żaglami tak „uciułanych oszczędności osobistych“ puścił się w wędrówkę, zamiast, jak zapowiadał, na tamten świat, do Ameryki!...

Ślad za nim zaginął, tak, iż do listów gończych zabrakło na razie fotografij jego. Poniszczył je i pousuwał już przedtem, gdzie mógł. Po ucieczce samej dokonywały tego w dalszym ciągu jakieś życzliwe ręce, tak jak znowu tchórzliwe obawiały się później nawet ich wydać. Z gabinetu w domu bankowym zginęła gdzieś grupowa fotografia. Najtchórzliwsi odmawiali użyczenia posiadanej przez pobożne względy na niestosowność zasługi zbiega do... illustracyi. Wreszcie oto możemy podać szerokiemu kołu czytelników „Nowości Illustrowanych“ podobiznę niecnego zbiega-oszusta, krzywdziciela tylu ludzi, takim jak uciekał, kiedy zostawiał za sobą niewypłacalności do 3.000.000 rubli dochodzące!



Bunt we Władywostoku: Żona prezesa władywostockiego związku związków, Wolkensztajnowa, która za przestępstwa polityczne spędziła 13 lat w Schlüsselburgu i 10 lat na Sachalinie, wreszcie zginęła od kuli wśród ofiar ostatniej rewolucyi na ulicach Władywostoku.



Jednodniowy bohater: Generał Aleksander Nyiri, były minister honwedów, który był komisarzem królewskim dla rozpędzenia bagnetami parlamentu na Węgrzech.

Oto właściciel i szef domu bankierskiego, Władysław Rawicz, a podobizna ta, gdziekolwiek dostanie się za granicę, niech w reprodukcyi innych pism, szczególnie za oceanem, posłuży przedewszystkiem dla rodaków naszych a wraz i dla wszystkich ludzi uczciwych za ostrzeżenie przed niecnym oszustem, który zbiegł przed należnym mu srogim wymiarem sprawiedliwości. *Bejot.*

Bunt we Władywostoku.

Niezwykła to była kobieta, której portret tu zamieszczamy. Nazwisko jej Wolkensztajnowa. Niedawno, podczas ostatniego buntu we Władywostoku szła ona z mężem swoim, prezesem tamtejszego związku związków, na czele deputacyi do komendanta twierdzy, z prośbą o wypuszczenie wszystkich uwięzionych. Wtem padła salwa, a wśród trupów, znalazła się ona, jako jedna z pierwszych ofiar. Spędziła ona znaczną część życia w więzieniu. Przez lat trzynaście bez przerwy, jako polityczna przestępczyni, przetrwała w twierdzy Szlüsselburskiej, poczem lat dziesięć przeżyła na wygnaniu na Sachalinie. Wreszcie padła od kuli na bruku Władywostoku, skąd świeżo właśnie nadchodzą wieści o nowych buntach. Tym razem rokosz wojsk tamtejszych, zdaniem znawców stosunków, jest niebezpieczniejszy od wszystkich poprzednich buntów władywostockich. Ostatnie depesze przynoszą wieści, że kilka tysięcy rezerwistów zbuntowawszy się, pociągnęło za sobą tysiąc żołnierzy pozostających w służbie czynnej. Rokoszanie zdobyli kilka portów i obwarowali te punkty strategiczne. Generałowie robili wysiłki, żeby zgnieść rewolucyę w zaczątkach, lecz do tej pory przynajmniej usiłowania ich nie odniosły skutku.



Konsul austryacki.

Chiński smok grozi: W czasie ostatnich rozruchów: konsulat austro-węgierski pod strażą marynarzy włoskich.

Jednodniowy bohater.

Nie zaszczytnej bynajmniej misyi podjął się 19 lutego generał Nyiri, gdy jako wysłannik Franciszka Józefa I. przybył do Budapesztu, rozgościł się w rezydencyi monarszej na zamku budzińskim i w charakterze wielkorządcy absolutnego spełnił czynności komisarza królewskiego, rozwiązując sejm węgierski gwałtem i rozpędzając posłów bagnetami przy pomocy honwedów. A był on niezbyt dawno w gabinecie Tiszy ministrem honwedów, ostatnio zaś komendantem okręgu honwedów w Stuhlweissenburgu. Mimo węgierskiego nazwiska, Nyiri ma wygląd Niemca, o małej figurce z zaokrąglonym brzuszkiem, małemi oczkami, wielką łysiną i rudawym wąsem. Już znacznie pokaźniej przedstawia się on na fotografii, którą dziś zamieszczamy, aniżeli na tamtym portrecie, który podaliśmy przed tygodniem. Wychowanie wojskowe otrzymał Nyiri w zakładach niemieckich i dla tego na Węgrzech nazywają go „wiedeńskim“ oficerem. Karyerę zrobił jako adjutant byłych ministrów wojny hr. Bylandta i Bauera, poczem był przez pewien czas komendantem węgierskiej akademii wojskowej. Gdy pojawiła się jego nominacya na komisarza królewskiego dla Węgier, opowiadano sobie w Budapeszcie po rozwiązaniu przez niego parlamentu, że ojciec Nyiriego, 70-letni starzec, wyparł się publicznie syna jako zdrajcy ojczyzny.



Chiński smok grozi: W czasie ostatnich rozruchów w Szanghaju, paniczna ucieczka Chińczyków przed pościgiem żołnierzy europejskich.

Chiński smok grozi.

Na dalekim Wschodzie azyatyckim horyzont polityczny zasnuł się znowu groźnemi chmurami, z których lada dzień mogą paść już pioruny. Rząd chiński, który przez cały czas wojny rosyjsko-japońskiej zachowywał zupełną neutralność, obecnie w sposób nagły i niespodziewany zmienił swoją postawę z wyczekującej na wyzywającą. Niewiadomo jeszcze, czy mamy tu do czynienia z planem dawno obmyślonym, czy też z nagłem postanowieniem wywołanem przez jakiś nieznany związek przyczyn i skutków; nie wiadomo też, czy w tym nowym kursie politycznym mężowie stanu otaczający cesarzową wdowę, liczą tylko na własne siły państwa, czy też działają w porozumieniu z dyplomacyą japońską, wysuwającą teraz w grę nową żółtą potęgę dla zaimponowania znienawidzonej rasie białej. Jedno jest pewne, że rząd chiński przygotowuje się do narzucenia Europie swojej woli i do otrząśnięcia się z jej wpływów, bez względu na skutki, jakie taki krok może wywołać. Poseł chiński w Berlinie, generał Yinczang, dotąd



Chiński smok grozi: Wnętrze największego hotelu europejskiego w Szanghaju zniszczone przez Chińczyków w czasie ostatnich rozruchów.

małomowny, zmienił ton i obyczaje i stał się wymownym, ironicznym, a nawet groźnym. Oto wobec poważnego publicysty niemieckiego oświadczył on świeżo, że Chiny postanowiły pozbyć się cudzoziemców, że uczynią to bezwarunkowo skutecznie, że świat co do Chin dozna jeszcze większej niespodzianki, niż to było z Japonią. Zapewnił poseł, że armia chińska już na ostatnich manewrach wprawiła w zdumienie zagranicznych wojskowych i dodał z dumą, że żołnierz chiński dziś nietylko dorównywa europejskiemu, ale go jeszcze tem przewyższa, iż nerwów wcale nie posiada. Handlowe stosunki chcą Chiny utrzymywać tylko z państwami, które sobie u nich kolonii nie zdobywały, więc przedewszystkiem z Austryą, do której mają zaufanie.

„Chiński smok, który spał tak długo, mówił dosłownie poseł generał, połechtany został przez cudzoziemców i obudził się. Jeszcze jest trochę senny; gniewny, że mu zakłócono spokój, rusza łapami i potrząsa swem potężnem cielskiem. Zuchwalcy, którzy podeszli zbyt blisko i tańczą mu na nosie, będą zrzuceni i potłuką się, nikt na to nie poradzi. Chiński smok na nowo nie da się uśpić. Gdyby pozwolono mu spać, bogaconoby się długo jeszcze skarbami, które ma w swojej pieczarze. A teraz czeka ich to tylko, co sami wywołali“. A. potem mówił poseł o wielkiem nieszczęściu, jakie spotka świat, gdyby którekolwiek z mocarstw próbowało hamować naturalny bieg wypadków. Wreszcie zapowiadał dyplomata bliski wybuch nienawiści ludowej przeciw europejczykom, sroższy jeszcze i bardziej żywiołowy niż pamiętny przed pięciu laty.



Czciciele półksiężyca: Uczestnicy niedawno w Petersburgu odbytego zjazdu Muzułmanów z całej Rosyi.

Wobec tego wszystkiego na nowo i coraz trwożniej zaczyna się wszędzie mówić o niebezpieczeństwie żółtem, interesującem Rosyę, Anglię, Niemcy i Amerykę; to też aktualne są dziś załączone tu illustracye scen charakterystycznych, z niedawnych rozruchów w Szanghaju.



Absolutyzm na Węgrzech: Jan Halmos, pierwszy burmistrz Budapesztu, który teraz ustąpił wobec mianowania generalnego komisarza królewskiego.

Czciciele półksiężyca.

Nie wątpimy, że zajmie Czytelników malownicza grupa wyznawców Mahometa, którą dzisiaj pomieszczamy. Przedstawia ona uczestników niedawno w Petersburgu odbytego zjazdu wybitnych przedstawicieli Muzułmanów, zamieszkujących różne prowincye państwa rosyjskiego. Na tę ludność zwracają się dziś oczy polityków coraz baczniej odkąd niepokojące wieści nadnoszą codzień depesze dzienników to z nad granicy tureckiej, to znów perskiej, to wreszcie sprawozdania bardzo znamienne o ciągłem wrzeniu rewolucyjnem na Kaukazie. Po zjeździe na Krymie, który zażądał pozostawienia rekrutów w okręgach ściśle tatarskich — zwołano ważny zjazd do Petersburga co najwybitniejszych Muzułmanów z całej Rosyi. Wprawdzie na zjazd ten w pierwszej chwili nie chciał pozwolić minister spraw wewnętrznych Durnowo, ale zgodziły się wreszcie władze na to, że odbędzie się on niejako w poufny sposób. Tak też doszedł on do skutku i powziął niesłychanie doniosłe uchwały, a pamiątkę z tego zebrania stanowi właśnie wspólna fotografia osobistości w zjeździe udział biorących.

Absolutyzm na Węgrzech.

Było to w ubiegłą sobotę. Na 4-tą popołudniu zwołano posiedzenie wydziału municypium budapeszteńskiego. Tymczasem już na parę godzin przedtem policya obsadziła gmach municypium i zamknęła wszystkie wejścia, nawet sąsiednie ulice. W sali zajęli policyanci galerye, tak jak korytarze i dziedziniec. Kiedy weszło na salę nieliczne grono radnych stolicy z wiceburmistrzem, wkroczył oddział policyi i zajął pod estradą prezydyalną miejsca w pierwszych rzędach foteli radzieckich. Wtedy dopiero zjawił się **w stroju narodowym** (jak go widzimy na fotografii dziś u nas zamieszczonej) Bela Rudnay w towarzystwie agentów policyjnych i z estrady odczytał reskrypt monarszy, mianujący go komisarzem królewskim dla Budapesztu i komitatu peszteńskiego z nieograniczonem pełnomocnictwem. Municypium stolicy odpowiedziało na to z godnością: uchwaleniem protestu.

Wskutek zarządzenia Rudnaya, byłego dyrektora policyi stołecznej, a obecnego generalnego komisarza królewskiego, centralna kasa miejska wydała rządowi wpłacone w niej dobrowolnie podatki państwowe w kwocie przeszło 13 milionów koron.

Wszelkie rozporządzenia tego „wielkorządcy“



Absolutyzm na Węgrzech: Bela Rudnay, były dyrektor policyi stołecznej, a świeżo mianowany generalny komisarz królewski dla Budapesztu i komitatu budapeszteńskiego.

mają charakter absolutyzmu z jak najdawniejszych czasów, toteż zaraz w pierwszej chwili policyjnemu satrapie ustąpił miejsca w rządach stolicą pierwszy burmistrz Budapesztu, Jan Halmos, który podał się do dymisyi. I jego portret znajdą Czytelnicy w dzisiejszym numerze, obok licznych zdjęć fotograficznych, dokonanych na miejscu specyalnie dla „Nowości“, a malujących charakterystyczne chwile epokowego na Węgrzech wypadku: pogwałcenia konstytucyi przez rozpędzenie bagnetami Sejmu.



Specyalne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“.

Absolutyzm na Węgrzech: W dniu rozwiązania Sejmu węgierskiego, policya wpada do gmachu parlamentu budapeszteńskiego.

Niesumienni szafarze grosza publicznego.

W Stanisławowie toczył się przez tydzień zajmujący proces karny. Przed kratkami sądów przysięgłych stanął mianowicie Józef Brück, b. kasyer i dyrektor pow. Kasy chorych, oraz dwaj towarzysze, mianowicie Wilhelm Seidl, b. kontrolor i Herman Messing, likwidator tej instytucyi, wszyscy trzej pod zarzutem nadużycia władzy urzędowej na szkodę pow. Kasy chorych, względnie jej członków.

Sprawa stanisławowskiej pow. Kasy chorych nie jest czytającej publiczności obca. Prasa codzienna zajmowała się nią niejednokrotnie, a w parlamencie także interpelowano o położenie końca rabunkowej gospodarce w tej instytucyi. Już w r. 1899 wpłynęło do stanisławowskiej prokuratoryi państwa doniesienie o nadużyciach, w pow. Kasie chorych tamtejszej popełnianych. Prezesem tej instytucyi był wówczas słynny na bruku stanisławowskim macher Selig Rubinstein, trzęsący tem miastem. Syn jego był równocześnie lekarzem Kasy chorych. Był to czas żniw Brücka i towarzyszy, tych, którzy przed kratkami dzisiaj stoją, oraz tych, którzy się wstydliwie przed okiem prokuratoryi ukryć potrafili. Dochodzenia wówczas pozostały bez skutku. Śledztwa zaniechano. Tymczasem odbywano liczne zgromadzenia, na których piętnowano złodziei funduszów Kasy chorych. W r.

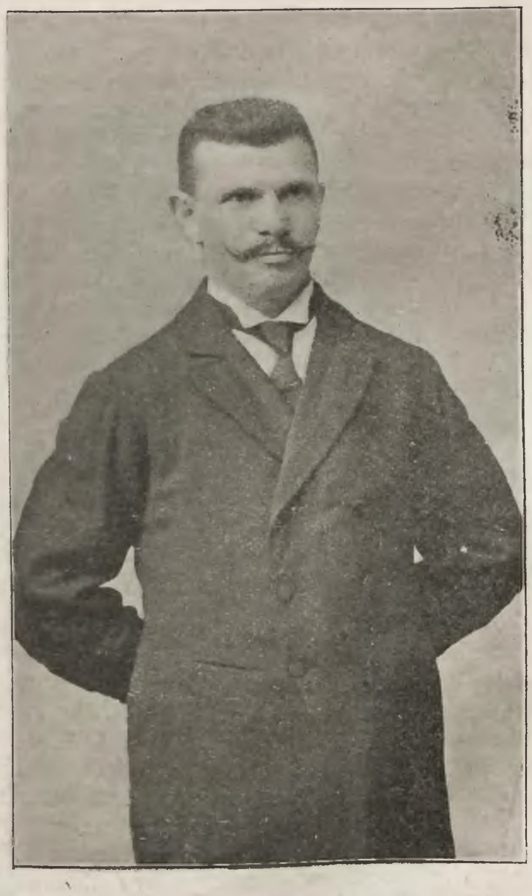
1903 odbyły się wybory do tej instytucyi i niewinna krew młodziutkiego robotnika splamiła bruk stanisławowski. W czasie dokonywujących się wyborów, przeciwko tłumowi demonstrującemu wystąpiła żandarmerya i od strzału karabinowego padł trupem pomocnik kuśnierski Brückner, drugi zaś został raniony. Kiedy wreszcie w r. 1904, w marcu, robotnicy objęli zarząd Kasy chorych, pierwszą czynnością było zasuspendowanie Brücka i Seidla, przeciwko którym okazały się ciężkie zarzuty przewinienia. Brück, nie czekając na dalsze następstwa, zabrał gotówkę i uciekł do Szwajcaryi, a następnie do Luxemburga, gdzie się zameldował pod fałszywem nazwiskiem. Tutaj go aresztowano i oddano sądom austryackim. Za złożeniem kaucyi wysokiej puszczono go na wolną stopę. Brück dopuszczał się razem z towarzyszami w ten sposób malwersacyj, że wpisywał rozmaite kwoty do ksiąg kasowych jako wypłacone członkom Kasy, rzekomo chorym, ci zaś ich wcale nie otrzymali i chorymi nie byli. Dokumentów na te pozycye albo brakowało zupełnie, albo były sfałszowane.

Przed kratkami sądowemi przewinął się cały korowód świadków, którzy stwierdzili, że świadectwa lekarskie i podpisy lekarzy na nich były sfałszowane, i to, jak orzekli rzeczoznawcy, ręką Brücka, lub jego córki, którą w podpisach tych ćwiczyła macocha, druga żona Brücka.

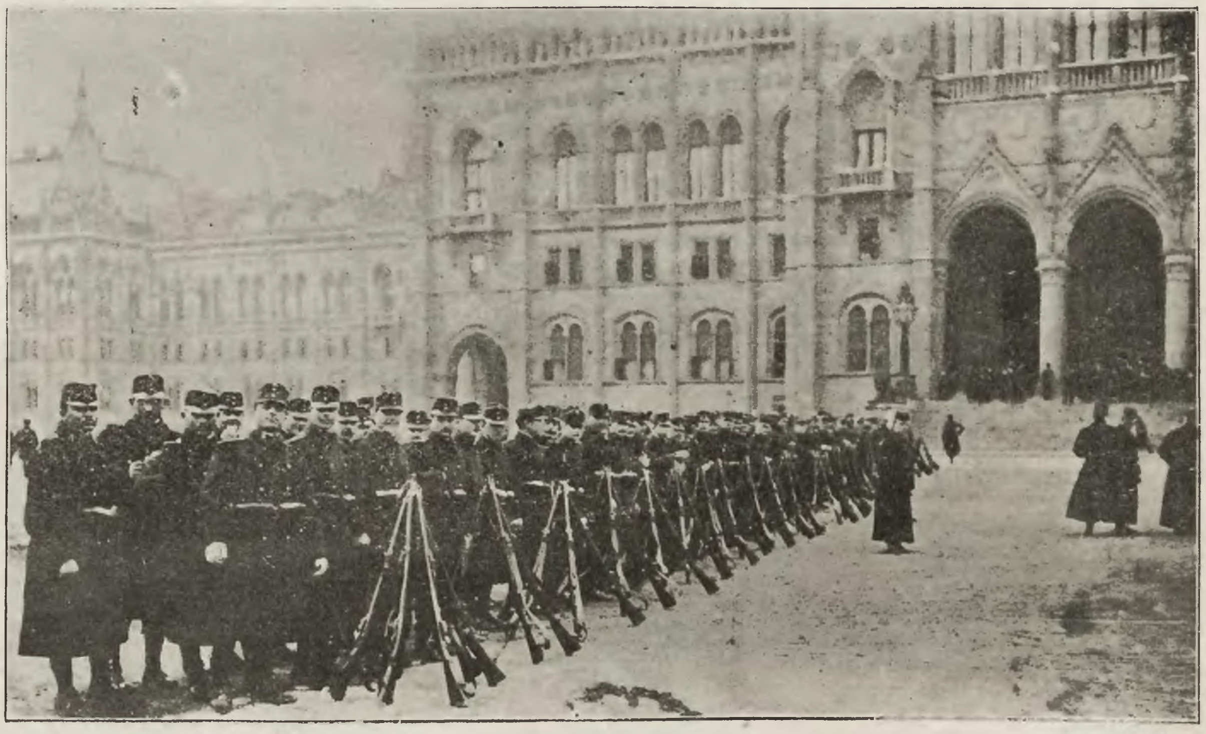
Wypadków takich fałszerstw udowodniono podczas rozprawy przeszło sto.

O rozmiarach tego olbrzymiego procesu świadczy fakt, że sprawdzanie ksiąg trwało przeszło dwa lata, a do rozprawy powołano 116 świadków, sędziom przysięgłym zaś zadano 290 pytań.

Rozprawa wykazała dowodnie winę Brücka. Co do Seidla i Messinga, ci więcej zawinili zaniedbaniem swoich obowiązków, albo pobłażaniem swojemu szefowi, aniżeli sami się nadużyć dopuścili.



Niesumienni szafarze grosza publicznego: Skazany w świeżym procesie na 14-sto miesięczne więzienie za malwersacye Józef Brück, były kasyer i dyrektor pow. Kasy chorych w Stanisławowie.



Specyalne zdjęcie fot. dla „Nowości Illustrowanych“.

Absolutyzm na Węgrzech: Po rozwiązaniu Sejmu w Budapeszcie, wojsko obozuje na placu przed zamkniętym parlamentem.

W ostatniej chwili donoszą ze Stanisławowa, że Brück, którego portret dziś pomieszczamy, został skazany na 14 miesięcy więzienia; inni uwolnieni.



Kossuth. Specyalne zdjęcie fot. dla „Nowości Illustrowanych“.

Absolutyzm na Węgrzech: Po rozwiązaniu przemocą Sejmu budapeszteńskiego, posłowie opuszczają z godnością gmach parlamentu, wojskiem i policyą obsadzony.

W rocznicę Olszynki Grochowskiej.

1831 — 25 lutego — 1906.

Kiedy w rocznicę trębacze krakowscy ze szczytu niebotycznej wieżycy Maryackiej zagrali pieśni patryotyczne, oko łzą mimowoli zachodziło na wspomnienie dnia tego z przed 75 laty... „Oto dziś dzień krwi i chwały“ — dźwięczały w uszach słowa „Warszawianki“ — „Hej, kto Polak, na bagnety!...“ I przed oczyma duszy przesuwały się, jak cienie, generalskie postaci Chłopickiego, Skrzyneckiego, Żymirskiego, co na polach Grochowa pod Warszawą 25-go lutego 1831 r. zmagali się z Dybiczem, nie chcąc oddać słynnej Olszynki; jak cienie, przesuwały się zastępy białych ułanów polskich z pod chorągwi powstańczych z napisem „za naszą i waszą wolność“, wiarusów-bohaterów, jak lwy walczących w obronie świętego gaju Grochowa, co się stał polskimi Termopilami... „Bagnet sparł się z bagnetem, aż w piersiach przepada... Gromada jedna padła, znów druga gromada: żołnierz polski tysiące trupów w lesie kładzie“. Tych, co z życiem wyszli z pod Grochowa, gdzie 20 tysięcy zabitych i rannych stosem zaległo ziemię



Specyalne zdjęcie fot. dla „Nowości Illustrowanych“.

Absolutyzm na Węgrzech: Po rozwiązaniu Sejmu: policya na dziedzińcu gmachu parlamentu budapeszteńskiego.



Specyalne zdjęcie fot. własnym aparatem „Nowości Illustrowanych“.
W rocznicę Olszynki Grochowskiej: Uczestnicy obchodu 75-tej rocznicy bitwy pod Grochowem, przed kościołem Maryackim w Krakowie, w południe po nabożeństwie patryotycznem; na przedzie „Sokół włościański“.

w gaju olchowym — znaliśmy wszyscy dziećmi: na piersi osiwiałych weteranów krzyż *Virtuti Militari* świadczył, że tam byli pod Grochowem w on dzień krwi i chwały i po trzykroć szli na bagnety odbierać olszynkę kirasyerom Dybicza, rozporządzającego trzykroć większą od Chłopickiego armią. „Hej, grochowska batalia słynąć będzie przez wieki, świecić będzie jak gwiazda potomności dalekiej!“ Bo w istocie był to moment najwybitniejszy w wojnie Listopadowej, a zarazem jedna z najjaśniejszych kart w naszych dziejach w ogóle... „O gaju święty dla nas, Olszyno Grochowa, pamięć o tobie Polak w późny wiek przechowa; gdy białe orły znowu nad Wisłą zaświecą, w onym dniu odrodzenia, w tę chwały godzinę, szczepiąc drzewo wolności — zaszczepim olszynę!“

Pamiętano w Krakowie o 75-ej rocznicy słynnej i chlubnej bitwy Grochowskiej. Jak Mickiewicz przykazał: „obchodźcie święta wasze narodowe, święto powstania i święto Grochowa, obyczajem waszych przodków idąc z rana do kościołów“ — urządzono staraniem młodzieży nabożeństwo pamiątkowe u Panny Maryi z patryotycznem kazaniem ks. Bandurskiego. Wśród uczestników zwracał uwagę — kosynierów z pod Grochowa przypominając — zastęp Sokołów włościańskich w krakowskich strojach (widać ich na naszej fotografii). Drugą część obchodu stanowiła poważna manifestacya wieczorna z pochodem przy lampionach, ze sztandarami, przez miasto do miejsc pamiątkowych i zebraniem u stóp pomnika Mickiewicza w Rynku, gdzie po mowach, w czasie śpiewu, dokonaliśmy fotograficznego zdjęcia tłumu patryotycznej młodzieży. Na tle ciemności wieczornych odbijają białemi plamami światła lampionów, chwiejących się nad głowami rozśpiewanych studentów i dziatwy szkolnej płci obojga.

Herezye czarnych mankietników.

W Płocku, biskupiej stolicy mazowieckiej, nastąpił w d. 8-ym lutego b. r. jawny rozłam Kościoła polskiego, na który zanosiło się **już** oddawna pod wpływem kobiety-mistyczki — cierpiącej, zdaniem ogółu, na halucynacye, a świętej, jak twier-



Specyalne zdjęcie fot. własnym aparatem „Nowości Illustrowanych“ przy sztucznem oświetleniu o godzinie 7 wieczorem.
W rocznicę Olszynki Grochowskiej: Uczestnicy obchodu 75-tej rocznicy bitwy pod Grochowem na Rynku krakowskim pod pomnikiem Mickiewicza przy lampionach wśród ciemności.

Herezye „Czarnych Mankietników".



Leon Gołembiowski.



Kazimierz Przyjemski.



Wiesław Żebrowski.



Czesław Czerwiński.

Zawieszeni w czynnościach kapłańskich, najwybitniejsi księża Maryawici w Płockiem w Królestwie Polskiem.

dzą zreformowani pod wpływem natchnionych jej wizyj kapłani „Maryawici". Jest nią Felicya Kozłowska, właścicielka i kierowniczka od lat 18-tu dużego zakładu rękodzielniczego w Płocku. Skupiła ona w nim panny pracownice, wiążąc je pewnemi ślubami wyrzeczenia się życia światowego i praktykami religijnemi w klasztorne na poły Zgromadzenie. Wyrób artystyczny ornatów i wszelkich aparatów kościelnych zbliżył do niej z po-



Władysław Zbirochowicz.



„Mateczka" Kozłowska, głowa Kościoła Maryawitów.



Ludwik Ryttel.

czątku w imię interesu znaczne koło księży płockich i z okolicy. Nie przeszkadzał temu dawniejszy biskup śp. ks. Nowodworski, owszem, niejednokrotnie sam zwiedzał zakład i protegował, a tak samo prałat ks. Weloński. Dopiero przed laty kilku za jego następcy biskupa śp. Szembeka rozpoczęły się jakieś rygory, gdy za przykładem z góry coraz liczniej nawiedzali zakład księża i coraz bardziej pozostawali pod wpływem duchowym Kozłowskiej i jej wizyj. Związali się w szczupłem naprzód kółku w kongregacyę Maryawitów. Nie zakon to, ale stowarzyszenie księży pobożniejszych, którzy wzajem ślubowali sobie czystość obyczajów, surowe ubóstwo, (dzięki czemu wyrzekali się datków za posługi duchowne), wstrzymywanie się od mięsa itp., zaś w praktykach religijnych postawili sobie za pierwsze zadanie zaprowadzić gorliwą adoracyę Najśw. Sakramentu, jak i częstsze przystępowanie do Komunii św. i szczególną cześć nabożną do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Zgromadzenie to, licząc w swem łonie księży świeckich, przeważnie wychowańców Akademij duchownych, zyskiwało coraz więcej prozelitów, coraz większy wpływ na lud, w czem doznawało pomocy i poparcia również ze strony mateczki Kozłowskiej przez jej szerokie stosunki i zakłady sierot, lub wychowawcze w kraju. Maryawici zwracali się i do Rzymu o zatwierdzenie ich kongregacyi. Jednak biskupi tak płocki jak i warszawski sprzeciwili się temu, tak, że Watykan odmówił, a Kozłowską uznał jako chorą na umyśle.

Wobec tego biskupi nakazali Maryawitom rozwiązać się i zaniechać wszelkich dalszych praktyk, działań i związku z Kozłowską. Kapłani przyrzekli. Jednak nie zaprzestali poufniejszych związków z sobą a i z Kozłowską, której również odmówiono w Rzymie zatwierdzenia ustawy dla nowego klasztoru Klarysek. Poddała się ona wyrokowi, ale pozornie tylko, oświadczając, iż jest to odtąd zgromadzenie świeckie.

Nieposłusznych księży pociągnął ponownie biskup płocki do odpowiedzialności i nałożył pewne kary, zażądawszy ich przyjęcia na piśmie pod grozą całkowitej suspensy. Lecz i to nie pomogło, a gdy ponownie byli wezwani przed sąd konsystorza bisk. złożyli imieniem wszystkich Maryawitów akt jawny odłączenia się od biskupów, którym wypowiedzieli posłuszeństwo. W Płockiem są to księża: Ludwik Ryttel, Kazimierz Przyjemski, Czesław Czerwiński, Wł. Zbirochowicz, Wiesław Żebrowski; w parafiach Święciniec, Radzymin, Smogorzewo i Ciechanów, jako też ks. Gołembiowski Leon, bez stałego miejsca (oto ich fotografie).

Odtąd już księża ci, choć nie są w ekskomunice, zostali zawieszeni w czynnościach kapłańskich urzędownie z ramienia biskupa. — Jednakże nie uznają tej suspensy, odprawiają dalej nabożeństwa, prawią kazania, w czem doznają poparcia ze strony sfanatyzowanych parafian, gotowych siłą odeprzeć wszelkie zakusy biskupa na swych księży, tak że czuwają przy kościołach i plebaniach dzień i noc, aby im księdza nie zabrano, gdyż niedopuściliby żadnego nowego z ramienia biskupa.

Zdarzyły się w ostatnich tygodniach wypadki,



Siedziba „mateczki" Maryawitów, Kozłowskiej w Płocku, jej zakłady wyrobów kościelnych, oraz rodzaj klasztoru panien tam zajętych.

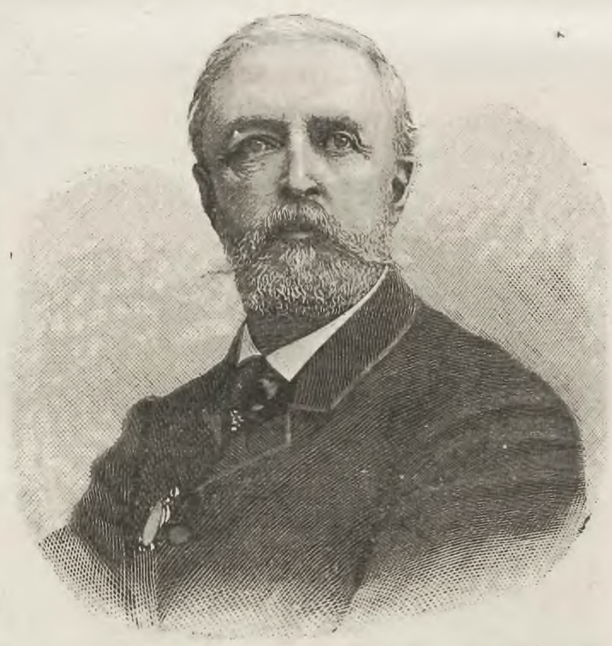


Lekarz krakowski u łoża królewnej: Chora księżna Ludwika Schaumburg-Lippe, najstarsza córka króla Fryderyka VIII. duńskiego (z dziećmi), do której wzywano prof. dra. O. Bujwida z Krakowa.

w których przychodziło do bójek między Maryawitami a prawowiernymi katolikami po wsiach w różnych stronach Królestwa. Gdzieniegdzie zaciekłość sekciarzy doprowadzała do tego, że przybyciu biskupa na wizytacyę przeszkadzano ogrodzeniem kościoła drutem kolczastym i pogotowiem chłopów z cepami. Wogóle grozi Polsce wewnętrzna wojna religijna, tak szybko rozszerza się w kraju sekta Maryawitów — jak oni nazywają się sami, a mankietników, jak nazwano ich ogólnie od czarnego mankietu, używanego przez kapłanów z sekty zamiast białego.

Dzienniki są od dwu tygodni przepełnione szczegółami sensacyjnemi tej niebezpiecznej herezyi, która w chwilach dla narodu tak ciężkich zagraża wewnętrznemi sporami, a pewne niepatryotyczne postępki nowej sekty potępiają ją i w oczach narodowego ogółu, nawet poza względami religijnemi. Niebezpieczeństwo jest tem większe, ile że lud garnie się do księży Maryawitów, ponieważ nie pobierają opłat za posługi duchowne, ale nieoświecony wieśniak nie zwraca uwagi na to, że stosunkowo dużo musi opłacać za dewocyonalia wyrobu zakładu Kozłowskiej — który ma u nich monopol — a pokup tych rzeczy jest nakazany rygorem maryawickim, sekciarze bowiem dużo razy na dzień połykają papierki jakieś poświęcane, jako komunię maryańską i t. p.

Dotychczas wszystko, co o ich nauce opowiada prasa z oburzeniem, jest niejasne i bałamutne. Wiadomo tylko, że duszą i głową tego odrębnego Kościoła jest „święta“ ich „mateczka“ Kozłowska. Żaden ksiądz wbrew jej woli nie może być przy-



Kto nie był na pogrzebie: Król Oskar szwedzki, który nie był na pogrzebie króla duńskiego, żeby uniknąć spotkania z monarchą norweskim.

jęty do zgromadzenia, musi się jej przedstawić i uzyskać jej sankcyę; ceremonia przyjęcia polega na zgięciu kolana przed nią i ucałowaniu jej ręki.

Illustracya mateczki Kozłowskiej przedstawia ją w stroju rzadko przywdziewanym, zakonnym, gdyż na codzień chodzi w zwykłej szarej lub czarnej sukni. Zakład jej mieści pracownie hafciarskie, tkackie, malarskie, ochronkę ze szkółką,



Lekarz krakowski u łoża królewnej: Prof. dr. Odo Bujwid, którego wzywano do chorej córki króla duńskiego.

wydawanie obiadów dla 100 ubogich dziennie — jednem słowem, jest dobroczynny.

Niektórzy opowiadają, że w ostatnich czasach obrano sobie jeszcze drugą „mateczkę“, którą jest córka pani Kozłowskiej, liczącej obecnie około pięćdziesięciu lat. W każdym razie jedna z nich urodzić ma Antychrysta, o czem świadczy objawienie następujące, odczytane z ambony przez jednego z księży Maryawitów. „Anioł Gabryel przybył do „mateczki“ i powiedział jej, że z woli Opatrzności została wybrana na matkę Antychrysta. Święta mateczka cierpiała nad tem, że ma wydać na świat potwora i zemdlała. Lecz usłyszawszy, że trzeba być posłuszną woli Bożej, powtórzyła słowa Świętej Poprzedniczki swojej: „Otom jest służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego“.

Według ostatnich wiadomości, mateczka Kozłowska (starsza) wyjechała z Płocka na wizytacyę parafij mankietników, a delegacya księży Maryawitów udała się do Petersburga prosić rząd rosyjski o poparcie dla ich sekty przeciwko prawym biskupom i uznanie ich zgromadzenia za odrębny Kościół.



Kto nie był na pogrzebie króla duńskiego: Grupa rodziny, która szła za trumną (w środku król Fryderyk VIII. i królowa Anglii; na lewo król Grecyi).

Dla zdobycia specyalnych illustracyi do sprawy Maryawitów, stanowiącej dziś powszechnie aktualność sensacyjną, delegowaliśmy do Płocka umyślnego korespondenta z Warszawy.

Lekarz krakowski u łoża królewnej.

Naukę polską spotkało w ubiegłym tygodniu zaszczytne uznanie. Oto do łoża chorej księżnej Luizy Schaumburg Lippe, córki obecnego króla duńskiego, mieszkającej w zamku Nachod koło Raciborza w Czechach, powołano z Krakowa uczonego polskiego, profesora wszechnicy Jagiellońskiej, dra Odona Bujwida. Chora królewna pozostawała pod opieką najsłynniejszych lekarzy niemieckich, którzy, nie mogąc rozpoznać jej choroby, powstałej na tle niebezpiecznego zakażenia krwi, zdecydowali się po konsylium zawezwać najlepszego bakteryologa i zwrócili się do profesora Bujwida. Znakomity profesor wyjechał natychmiast, w towarzystwie swego asystenta dra Eisenberga, do Nachodu, zbadał chorą i zarządził odpowiednie środki. Choroba jest bardzo zbliżona do *meningitis* (zapalenie opon mózgowych).

Profesor Odo Bujwid, którego portret również obok zamieszczamy, jest postacią w Krakowie ogólnie znaną i powszechnym otoczoną szacunkiem, w nauce polskiej zaś jest jednym z najtęższych jej filarów.

Kto nie był na pogrzebie?

Koła polityczne były w ostatnim czasie mocno zaciekawione, czy król Oskar szwedzki przybędzie na pogrzeb nieboszczyka króla duńskiego. Jeżeli przyjedzie — mówiono — to będzie miał sposobność przy zwłokach starego przyjaciela swego podać w Kopenhadze rękę królowi Haakonowi norweskiemu — on, który sam do niedawna prócz szwedzkiej, nosił od lat na skroniach i norweską koronę. W tym razie też nastąpiłoby po raz pierwszy w ogóle w dziejach spotkanie się wszystkich trzech królów skandynawskich (Szwecya, Norwegia i Dania). Nadszedł wreszcie termin pogrzebu „dziadka i teścia Europy“, który osierocił trzech synów, trzy córki oraz 69 wnucząt i prawnucząt, i okrył żałobą prawie wszystkie dwory europejskie w bliski sposób z nim spokrewnione — a na uroczystościach w Kopenhadze i w Roskilde, gdzie się znajdują grobowce duńskich władców, brakło właśnie króla Oskara szwedzkiego w licznym poczcie królów i książąt kuzynów z cesarzem Wilhelmem na czele. Wprawdzie z zięciów nie przybył król angielski, ale za trumną ojca postępowała królowa Aleksandra, jak widzimy obok na fotografii, wyobrażającej grupę rodziny w żałobie na pogrzebie Chrystyana IX. Obok nowego króla Danii, Fryderyka VIII, znajdują się królowa angielska, król grecki i oboje księstwo Cumberland. Raził zaś brak króla szwedzkiego, którego portret osobno dajemy Czytelnikom.

Plotki lwowskie.

(Bulwary. — Grąbczewski. — Heller. — Pojedynek.

Zanosi się na to, że nasz Lwów dziś, jutro, według programu jego dobrze myślących opiekunów, przemieni się w europejskie miasto i to w magistrackiem tego słowa znaczeniu. Przedewszystkiem padł projekt, ażeby ulicę Akademicką przemienić na bulwar w rodzaju bulwarów paryskich, który to projekt spotkał się z nader przychylnem przyjęciem w sferach miarodajnych t. j. w kołach lwowskich brukotłuków, złotawej młodzieży i pięknej płci spacerującej. Ale nie widzę słusznego powodu, dla którego mianoby wyszczególnić jedyną ulicę Akademicką z pominięciem ulic innych, jak Słoneczna ze względu na Colosseum i inne domy gościnne, Kazimierzowska ze względu na Brygidki, Szpitalna, Smocza i tyle innych. Do typów lwowskich przybędzie zatem jeszcze jeden: lwowski bulwarowiec.

Prawdę mówiąc, to tylko nam jeszcze bulwarów brakowało, ażeby być Europą. Dyrekcyę skarbową już mamy, połowę muzeum przemysłowego mamy, (drugą połowę odzyskamy, gdy się zapadnie kawałek dyrekcyi skarbu, na co magistrat czeka niecierpliwie), tramwaje mamy, trzy pomniki stoją (jeden siedzi), teatr jest, ruski teatr w robocie, tyngle są, końska policya jest, skandale wielkomiejskie też są — zatem czego nam prócz bulwarów brakowało? Nie lubię się chwalić, ale Lwów, jak tak dalej pójdzie, za jakie paręnaście lat do rzędu stolic europejskich zaliczon będzie i trzeba będzie znów jakąś wystawę urządzić, tym razem nie krajową, ale światową.

Okazów na taką wystawę mielibyśmy dość, a obcy mogliby u nas niejedno zobaczyć, czego u siebie z pewnością nie widzieli. Nie mówię specyalnie o p. Grąbczewskim, choć myślę o nim od samego początku i ani rusz go przyczepić do jakiegoś tematu. Taki on już jest. Jestem o p. Grąbczewskiego niespokojny. Ludzie nie przestają go taskać po sądach, dzienniki nie przestają go szarpać, publika nie przestaje go wyśmiewać, a on — śpiewa na wszystkich. Powiada sobie, że kto z Pawlikowskim wchodzi raz w kontakt, ten gwiżdże na wszystko.

Więc i ja śpiewam na niego, puszczam kantem mego przyjaciela p. Wiktora Grąbczewskiego, a że już może go wkrótce nam zabiorą, więc z całego serca życzę mu rychłego wyjazdu, czego i sam sobie zapewne życzy, skoro postanowił zamknąć sezon o pół miesiąca wcześniej. Wyczytał bowiem biedak, że z cywilnych sądów mają go zamiar przenieść do karnych, tedy ścierpła mu artystyczna skóra i zaczął pakować garderobę i ręczniki. Wprawdzie między lokatorami w kryminale przy ul. Batorego na wiadomość o zapowiedzianej wizycie znakomitego śpiewaka zapanowała niesłychana radość, a p. Majewska nawet podobno nie chciała dać się wyprowadzić z więzienia śledczego, ale p. Grąbczewskiemu jakoś nie śpieszy się na ten gościnny występ czy „wstęp“ i mając niedobre przeczucie, opuszcza Lwów prędzej, aniżeli zamierzał, pomimo świetnego powodzenia opery. Kiedy więc odjeżdżasz, to „bywaj zdrów, o mej przyjaźni dobrze mów“ a przedewszystkiem, nie wracaj, człowiecze, niech Bóg broni, nie wracaj!

Inny kłopot mam z nowym dyrektorem Hellerem, którego zawsze lubię, pomimo, że nie śpiewa barytonem. Jak pan Grąbczewski miał zbyt wielu wrogów, tak Heller ma zbyt wielu przyjaciół i poprostu nie może sobie z nimi rady dać. Każdy mu chce pomódz, radzić, a on, biedak, teraz najbardziej potrzebuje pomocy — przeciw swoim przyjaciołom. Powinien ich tedy p. Heller zawiązać w „klub hellerowski“, wybrać wydział i prezydyum i w danym razie porozumiewać się tylko z przewodniczącym jako wypadkową całego klubu. Na przewodniczącego proponuję radcę Ostrowskiego, który jako referent teatralny dał dowód wielkiej przyjaźni dla Hellera, nazywając go „kandydatem jako *malum necessarium*“. Nie spodziewał się, czy Heller dowie się o tym epitecie i czy to takie larum wywoła. Ale szelma dyrektor wszędzie włazi, wącha, no i wywąchał przyjaciela. Inni przyjaciele prześladują go protekcyą, radą, pytaniami, informacyami, donosami, propozycyami, zasypują go szczerością. Nawet ci, którzy go sześć lat temu zwalczali w dziennikach, witając w Pawlikowskim mesyasza Sztuki narodowej, a nazywając Hellera kupcem teatralnym, frymarczącym świętą Sztuką.

Na zakończenie kawałek tragedyi. Proszę się nie przerażać już na początku, aż dam znak. Początek bowiem jest wcale wesoły. Naprzód zaręczam, że to fakt a u t e n t y c z n y, na żądanie służę dowodami.

Pan Izio to człek bardzo serdeczny. Jeden z tych, których się lubi „choćby nie wiem co“. A lubi go się nie tylko dla jego pięknej statury i brody senatorskiej, nie tylko dla humoru w gębie a nawet czasem w piórze... Jego się lubi bez „dla czegoś“, lubi go się, bo go się lubi... Izio lubi się czasem bawić, zwłaszcza gdy mu gust przyjdzie. W takich razach szuka „wspólnika“. Jak wiadomo, to zabawa w towarzystwie całkiem inaczej się klei, nie mówiąc już o towarzystwie damskiem. Jemu jednak tym razem chodziło o towarzystwo męskie. Do pierwszego było jeszcze daleko (dwadzieścia i kilka dni), a u niego już było bardzo dawno po pierwszym. Ale jak przyjdzie człowiekowi ochota, taki rodzaj wewnętrznego musu, to nic o tem wiedzieć nie chce, ile jeszcze dni do pierwszego. Nie mam ja, to masz ty — a być musi. Ba, ale kto ma być tym „ty“, który ma? Takich mało!

Psiakrrrew! — powiedział sobie Izio poszorował dłonią po pięknem czole i zamyślił się na chwilę tak samo, jak zamyślił się hr. Wojciech Dzieduszycki, kiedy chciał coś obmyśleć w miejsce reformy wyborczej systemu Gautscha. Nareszcie zerwał się na równe nogi. Heureka! Będzie pyszna zabawa, grand-biba z szampitrem i kolacyą! Ale bez pracy niema kołaczy. Zabrał się tedy do pracy.

Naprzód posłał dwóch uroczystych świadków do naczelnika asekuracyi „Aniela“ pana B.

— Obraziłeś pan dyrektor pana Izia, nazywając go tak a tak.

Dyrektor asekuracyi zrobił taką minę, jakby mu naraz powymierali wszyscy jego klienci, ubezpieczeni u niego na wypadek śmierci.

— Ja, gdzie, kogo, kiedy? — spytał przerażony i zdziwiony dyrektor, który zresztą znał dobrze pana Izia, a co najgorsze — wiedział, że to znakomity rębajło.

Ale świadkowie na te pytania nie mogli odpowiedzieć, bo sami dokładnie nie byli poinformowani. Przyrzekli tedy wrócić jeszcze raz, zostawiając naczelnika „Anieli“ w okropnym niepokoju. Świadkowie wracają do Izia, żądając bliższych informacyi.

Izio poskrobał się w czuprynę.

— Proszę się chwilkę zatrzymać — ja tu zaraz wrócę.

Wyszedł, ale jeszcze nie wiedział dokąd ma się udać, ażeby się dowiedzieć, przed kim właściwie ten naczelnik B. obraził Izia. Wpadł do redaktora P.

— Słuchaj, przyjacielu, ratuj, wyzwałem tego B. a teraz nie mam danych. Słuchaj, jak chcesz zjeść dobrą kolacyę, ale to tak ff., to powiedz, żeś ty słyszał.

— Kiedy bo nie słyszałem — mówi P.

— Więc powiedziałeś mi po pijanemu!

— Ależ nie uchodzi.

— Słuchaj, człowiecze: kolacya z szampanem!

— A więc szopa będzie, dobrze, powiem, żem ci tak mówił po pijanemu — ale, ale kto cię obraził?

— B. naczelnik asekuracyi „Anieli“

— Doskonale. Nawet zdaje mi się, że coś jest w tem.

Izio wybiegł uradowany, a w pięć minut potem świadkowie szli już do pana B.

— Miałeś pan obrazić pana Izia w rozmowie z panem redaktorem P.

Dyrektor B. znowu wybałuszył oczy.

— Ja z nim o I.? Niech mnie kule biją, jeśli wiem o co chodzi. — Kiedy?

— Podobno wczoraj.

— Nie widziałem nawet wczoraj pana P., ale zaraz — ja się z nim rozmówię przez telefon.

Rozmowa przez telefon:

— A tak, widzicie panowie, już rozumiem, pan P. tylko w dobrym humorze mu to powiedział żartem, a on to zaraz brał do serca — no, ale w każdym razie nie można tego sucho puścić.

I uradowany tym wynikiem naczelnik wyzwał świadków wraz z ich mandantem, a nawet i redaktora P. na „pojedynek“ do Stadtmüllera.

Czas — godzina 9 wieczór. Warunki — jak najostrzejsze: pić aż do „*Kampfunfähigkeit*“.

Naturalnie, że Izio dał się przeprosić i z tej całej afery wyszedł zwycięsko, bo zwyciężył jego — pomysł.

Pojedynek zakończył się o godzinie 6-tej rano.

Klewe.

Wspomnienie pośmiertne.

Bolesny cios dotknął w tych dniach p. Artura Gruszeckiego, autora z takiem zajęciem czytanej powieści, drukującej się w naszem piśmie, p. t.: „Bojownicy“. Jedyny syn jego, Wojciech, zmarł nagle w Przemyślu, gdzie odbywał jednoroczną służbę wojskową.

Śp. Wojciech Gruszecki liczył lat 21. Przed dwoma laty zdał egzamin dojrzałości w gimnazyum Sobieskiego w Krakowie, poczem przez rok uczęszczał na akademię górniczą w Leoben. W październiku z. r. poszedł do wojska. Zmarł w kwiecie wieku, w pełni sił, napełniając smutkiem nietylko rodziców i rodzinę, ale mnóstwo kolegów, przyjaciół i znajomych, których sobie szlachetnością serca, dobrocią i nieskazitelnością charakteru pozyskał. W gimnazyum jeszcze będąc, zdradzał nadzwyczajne zdolności, które pozwalały rokować nadzieję, że wyrośnie zeń prawy, zdolny i szlachetny obywatel. Nadzieje te rozwiała nielitościwa śmierć, która tak nagle i niespodziewanie przerwała pasmo jego życia.

Poświęcając tych kilka słów pośmiertnej notatki przedwcześnie zmarłemu młodzieńcowi, chcieliśmy wyrazić strapionemu ojcu najżywsze współczucie, które się głośnem echem zapewne odbije w szerokich kołach naszych Czytelników.

Rozwiązanie zagadek z Nru. 7.

Zagadka.

W
eol
sojka
Krynica
Drawa
ach
e
ali
Wanda
wakacye
Biała
buk
s
kto
Warta
Chrobry
Rosya
len
r
Aba
Jasło
Parkany
Kartagina

Wojna celna austro-serbska.

Kryptogryf.

B
kot
kojec
Mrzonki
Bojownicy
mdyniec
psina
ach
y

Bojownicy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: J. Robak Kraków, A. Miłkowski Bełz, J. Rodakowska Kulików, J. Bojuk Bełz, K. Jurkiewicz Tłumacz, St. Mroczkowski Kowalowe ad Jasło, Bl. Pieterkiewicz Czerniowce, L. Seimówna Kraków, K. Bobek Kraków, J. Wesoła Lwów, M. Weimerowa Nowy Sącz, J. Jaroszkówna Nowy Sącz, N. Auerówna Podgórze, O. Piotrowska Kraków, M. Gieszczykiewicz Kraków, M. Świtkowska Kraków, St. Andrysik Kraków, B. Ramułtowa Jeżów, M. Szulc Kraków, J. Sulkowski Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, I. Pompianka Kraków, K. Fuchs Peczyniżyn, A. Sanetra Założce, St. Waśniewski Kossów, K. Morawska Dynów, Wł. Czerkawski Dolina, H. Nitribitowa Krynica, M. Mirkowski Uhnów, J. T. Flura Uhnów, K. Ludwig Borysław, F. Kulesza Kraków, J. Czechowicz Mikołajów, St. Kozłowski Lubaczów, W. Pytlik Ujkowice, Wł. Dobrowolski Mościska, H. Karatnicka Nadwórna, E. Jezierski Kraków, X. L. Czapieński Radłów, St. Palczewski Felsztyn, Zosia Krysińska Warszawa, Mania Krysińska Warszawa, L. Proszowska Warszawa, W. Zajączkowski Strzyżów, J. Bielawski Brzeżany, M. J. Żankowski Popielniki, St. Szwabowicz Żurawno, Fr. Niepokój Krosno, Tow. „Zgoda“ Krosno, M. Gerstmann Dobrostany, S. Samueli Limanowa, Br. Weismanówna Limanowa, Kółko rolnicze Majdan zbyd., T. Domain Sanok, A. St. Bassara Niwiska, L. Zagłoba Śniegocki Zakopane, M. Arbesbauer Lwów, Stasia Borzemska Sarnki górne, A. Zimer Mikulińce, K. Markowski Zwiniacz, Al. Bocsoń Bóbrka, M. Cellerin Busk, M. Bossowska Bistuszowa, A. Surowiecki Kraków, Wł. Nowiccy Wiśnicz, J. Badura Rożdzień, M. Gałuszkiewicz Lwów, K. Chodkiewicz Zbydniów, H. Mokrzycka Turbia, K. Radwański Nowy Sącz 2, L. Świeżawska Gładyszów, M. Opolska Czarny Dunajec, H. Ulrych Malin, D. Orłówna Limanowa, M. Rożankowski Krynica, C. Głębocki Kraków, H. Szczerbowa Majdan Zbydniowski, Z. Ciechanowska Stary Sambor, X. Jasiński Sambor, A. Starczewski Ottynia, M. Radlmesser Swoszowice, G. Agopsowicz Wołczkowce, L. Fortuna Kęty, Czytelnia i resursa mieszczańska Kęty, J. Czaczka Rzeszów, T. Wodczyński Małkowice, W. Źralski Podgórze, St. Gajdeczka Zapałów, J. M. Kudas Krempna, E. Nowak Wysoczanka, O. Chrapkiewicz Sułkowice, J. Ramoszyńska Borysław, K. Remiszewski Załawie, E. Bogdalska Koropuż, J. Świerczewska Lwów, A. Batko Lwów, St. Staśko Dębniki, Halka Leligdowicz Fraga, Kuszpeciński Kraków, S. Miszke Kęty, X. M. Sztyrak Złoczów, Tow. „Jedność“ oddział II. Łazy (Śląsk austr.), J. Bazylewicz Jaktorów, Żerlak Trzebinia, W. Stanula Samocice, S Suchomel Tartarów, B. Meszyński Drohobycz. H. Popielówna Buczacz, A. Popielówna Buczacz, H. Zielińska Manajów, H. Plechawska Stanisławów, T. Tchórzewscy Lwów, St. Bursa Kossów, St. Grodeccy Leżajsk, M. Czaplicka Skierniewice, S. Czaplicka Skierniewice, Wł. Kisielewski Stryj, J. Duszyński Bochnia. M. Rożankowski Krynica, R. Wiśniowski Sulimów, St. Cyran Jasło, J. Kobylański Honiatycze, K. Reiter Stanisławów, G. Krasuski Winniki.

Nowy fałszerz pieniędzy.

Tak wygląda młody chłopak z Wołowic, o którym czytała publiczność krakowska niedawno w dziennikach, że go policya tutejsza aresztowała za podrabianie monety. Ma on dopiero lat 19,



a nazywa się Franciszek Przebinda. Zapoznał on się w więzieniu w Nowym Sączu z jakimś Rutkowiczem z Prus, który go na podstawie własnych doświadczeń pouczył, jak się podjąć wyrobu dobrych falsyfikatów. Toteż Przebinda zaraz po wyjściu z więzienia, urządził sobie na Zwierzyńcu pod Krakowem warstat, gdzie w prasie gipsowej robił odlewy 5- i 2-koronówek, oraz 20-halerzówek, a używał do odlewów nowej mieszaniny metalowej z tartem szkłem, której sekret posiadł od Rutkowicza. Podrobione monety puszczał w obieg głównie między przekupkami na Małym Rynku, na Starowiślnej i na targu w głównym Rynku, przez swego 15-letniego brata Władysława, którego policya za to również uwięziła. Obaj staną przed sądem karnym.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. Halka Leligdowicz, Praga. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta **przesyłki.**

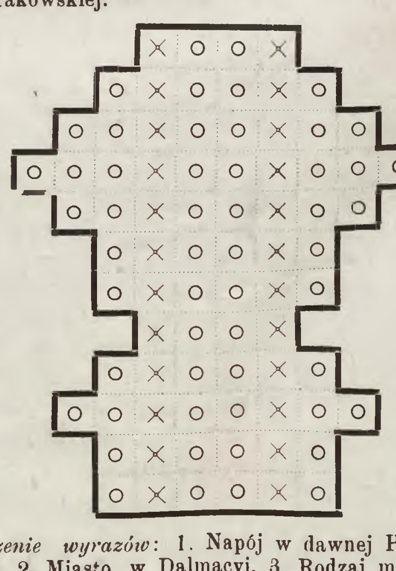
Uwaga: W odpowiedzi na liczne zapytania Szan. PT. Czytelników donosimy, że, przesyłając rozwiązanie, nie potrzeba wyszczególniać wszystkich wyrazów np. w zagadce lub kryptogryfie, wystarczy bowiem podać sam rezultat rozwiązania. Np. rozwiązanie z nru 7. wystarczało napisać w ten sposób: Zagadka: Wojna celna austro-serbska; Kryptogryf: Bojownicy. Dzięki temu można rozwiązania kilku nawet zagadek przesłać na zwyczajnej kartce korespondencyjnej. Celem uniknięcia reklamacyi prosimy o **wyraźne podawanie nazwisk** przy nadsyłaniu rozwiązania.

O nagrodę ubiegać się mogą **tylko prenumeratorzy** „Nowości illustrowanych“.

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, dały w pierwszym rzędzie imię i nazwisko znakomitego dramaturga rosyjskiego, a w drugim tytuł jego ostatniego dramatu, granego niedawno na scenie krakowskiej.

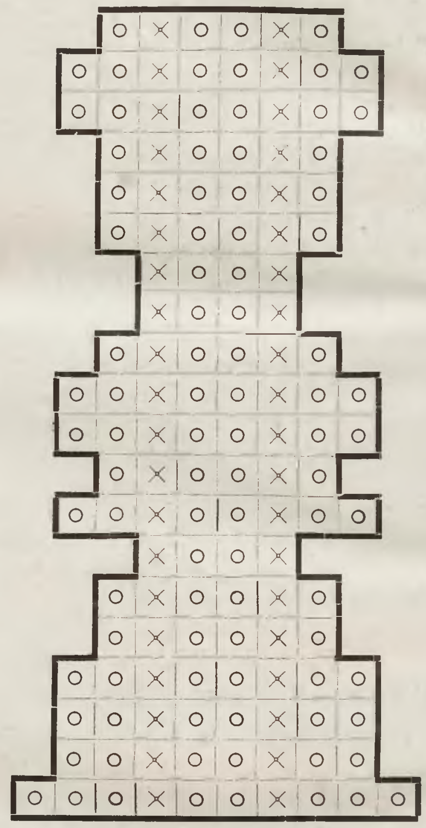


Znaczenie wyrazów: 1. Napój w dawnej Polsce bardzo używany. 2. Miasto w Dalmacyi. 3. Rodzaj mięczaków kopalnianych. 4. Miasto w powiecie ołomunieckim na Morawach. 5. Herb polski. 6. Imię żeńskie. 7. Gatunek porzeczek. 9. Inaczej społeczeństwo. 9. Rzeka w Aragonii, wpadająca do Ebra. 10. Hasło, dziś często słyszeć się dające, inaczej: „na kresy“. 11. Nazwa korsarzy morskich. 12. Góra i przylądek na półwyspie krymskim, opisana w jednym z sonetów Mickiewicza.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, a, a, a, ba, ce, ci, cki, dah, gon, gół, grest, gu, jow, ju, krań, kry, ku, li lia, me, miód, na, ni, o, pi, pros, ra, ra, ra, tie, ty, za.

Kryptogryf.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, w jednym i drugim rzędzie utworzyły określenie kwestyi, szczególnie dziś Warszawę interesującej.



Znaczenie wyrazów: 1. Stara, zniszczona budowla, inaczej ruina. 2. Król Persów i Medów, syn Cyrusa. 3. Nazwy dwóch rzeczy, znajdujących się w każdej wsi, połączone spójnikiem. 4. Nazwa świątyni u Indyan i innych bałwochwalczych narodów południowej Azyi. 5. Grecki bożek rzeczny. 6. Inaczej potrawa. 7. Narząd wzroku. 8. Inaczej zjazd lub zgromadzenie. 9. Złożony kwiatostan. 10. Dziecko nie umiejące jeszcze mówić. 11. Dwa imiona żeńskie, połączone spójnikiem. 12. Starożytna stolica Assyryi. 13. Herb polski. 14. Miasto w Rosyi nad Wołgą. 15. Imię żeńskie. 16. Choroba, w dawnych czasach często Europę nawiedzająca. 17. Wpisanie na liście lub dokumencie daty wcześniejszej, aniżeli jest w istocie. 18. Czas między Bożem Narodzeniem, a środą popielcową. 19. Inaczej człowiek nie lubiący pracować. 20. Słynny dramat Wyspiańskiego.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy złożyć należy: a, an, an, bi, cha, czy, da, da, e, ga, go, i, ik, ka, kam, kar, le, łą, mo, na, na, ni, ni, nia, nie, nie, o, pa, pos, pró, ra, ra, re, ru, sa, so, stra, ta, te, te, twer, wa, wa, wa, wa, wał, wie, wie, wiec, wle, wy, za, za, zez, zwo, żniak.

Logogryf.

Ze zgłosek: a, a, bal, baw, biec, ci, chód, chwiec, da, eu, fil, fry, gno, i, ir, ka, ka, ki, kisz, ko, la, le, le, lis, lo, lo, ło, mo, ni, no, ne, o, po, ra, ra, ra, rak, raz, ro, rum, rzyn, sa, se, stra, sza, szczer, tas, te, tot, tu, tysz, va, ve, waw, wie, wieś, wing, y, yu, za, za — ułożyć 22 wyrazy, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitego poety i dramaturga polskiego, a litery końcowe, czytane w tymsamym kierunku, tytuły trzech jego dramatów.

Znaczenie wyrazów: 1. Wóz, poruszający się bez koni. 2. Imię męskie. 3. Część świata. 4. Pseudonim znakomitego poety niemieckiego Hardenberga. 5. Wyraz oznaczający, ile razy pewna liczba mieści się w drugiej. 6. Nazwa miecza Bolesława Chrobrego. 7 Mieszkaniec Łotwy. 8. Miasto w królestwie neapolitańskim, . słynne z wyrobu broni. 9. Wieś w Galicyi. 10. Rodzaj nietoperzy amerykańskich. 11. Miasto na granicy Kurlandyi, słynne z uprawy lnu. 12. Słynny reformator religii w Iranie i Persyi, żyjący kilkaset lat przed Chrystusem. 13 Inaczej mrówkojad (yurum) 14. Nazwa krótkiego poematu. 15. Miasto we Francyi, które przez długi czas tworzyło udzielne księstwo. 16. Inaczej zając w języku myśliwych. 16. Inaczej przyrząd do bawienia się. 18. Rzeka w starożytności, nad którą leżała Sparta. 19. Znana roślina. 20. Mniemani mieszkańcy księżyca. 21. Zwierzęta morskie z rodziny polipów, służące za ozdobę. 22. Znakomity aktor angielski, pierwszy tragik na świecie, zmarły w ubiegłym roku.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **2 funty herbatników** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.